

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

kódź



NR 21 (1120) ROK XXII

27 MAJA 1979 R.

CENA 3 zł

W NASTĘPNYM NUMERZE: Dużo dzieci
Dziewczyny kochajcie mistrza
Przybysze z kosmosu (3)
Silniejsze niż państwo
Szanśa dla małych
Historia pisana obiektywem
Proza polska lat siedemdziesiątych

Wszystko zaczęło się od tego, że na przystanku linii autobusowej „69”, który znajduje się na Karolewie nie opodal zakładu „Olimpia”, zobaczyłem nadjeżdżający z podejrzaną szybkością autobus „G” i trzech ludzi stojących na jezdni i wymachujących gwałtownie rękami.

ANDRZEJ
MAKOWIECKI

autobusowa gra w berka

Pierwszy z tych mężczyzn nazywa się Michał Strzelecki i jest I sekretarzem KZ wymienionej fabryki, drugi, Ryszard Cynder, jest zastępcą dyrektora, a trzeci, Jan Otto, przewodniczącym Rady Zakładowej, co zaś się tyczy ich gwałtownej reakcji to każdy pospieszny autobus linii „G” powinien zatrzymać się w tym miejscu „na żądanie”.

No i proszę! Wcale się nie zatrzymał.

Pytam:

— I co panowie na to?

A oni:

— Nic. Zapisaliśmy numer.

— I będziecie interweniować?

— Tak. Tyle, że jak zwykle bez skutku.

— Być może skasowano już ten przystanek, „na żądanie” — mówię.

— Kiedys była tu tabliczka, a teraz już jej nie widzę.

— Bo oni ją zrywają.

— Kierowcy?

— Kierowcy.

— I wie o tym dyrekcja MPK?

— Wie. Niby mają z nami umowę,

żeby się zatrzymywać, ale, jak powiada ich dyrektor: te draby nie chcą słuchać, człowiek gada jak do ściany.

— Od tego jest dyrektorem żeby słuchali. Hu! ich może jeździć dziennie na tej trasie? Pleciu? Sześciu? Wziąłby gości na wygawor do gabinetu, huknął pięścią w stół.

Trzej panowie z „Olimpii” uśmiechają się pobłaźliwie. Sekretarz Strzelecki wskazuje ręką okalający fabrykę pas asfaltu:

— „G” to jest jeszcze żaden problem. Przyjdzie kiedyś, redaktorze,

do zakładu i porozmawiajcie z załogą. Dowiedzie się wtedy takich rzeczy, że was głowa rozboli. No i zwróćcie tu kilka razy w ciągu dnia —

ciągłe wskazuje pas asfaltu — wtedy na pewno uda wam się zobaczyć śpiące autobusy, takie, co to wypadły z trasy, albo skręciły sobie dzień pracy o te dwa kursy, a że na bazę

wrócić muszą o określonej godzinie, to sobie spokojnie tu czekają.

Ponieważ mieszkam z „Olimpia” po „sąsiedzku”, postanowiłem sprawdzić te rewelacyjne wiadomości. Chodziłem tam kilka dni z rzedu, o różnych porach, no i rzeczywiście — zobaczyłem wiele śpiących autobusów stojących sobie na uboczu, poza trasą, tak, że nie mógł ich wypatrzeć nikt z pobliskiej zajezdni na Nowych Sadach. Najczęściej były to pojedyncze sztuki — osamotniony kierowca drzemał, palił, dłuwał w nosie lub czytał gazetę; od czasu do czasu trafiały się jednak i dwa parkujące po sąsiedku pojazdy MPK i wówczas kierowcy gawędzili przyjaźnie.

W tej sytuacji, mając w dodatku za sobą parę osobistych, nieudanych prób z zatrzymaniem autobusu „G” „na żądanie”, postanowiłem odwiedzić w końcu „Olimpie”, której ka-

Dalszy ciąg na str. 3



Foto: R. Łucyszyn

PAWEŁ PATORA

Dwudziestopięciotysięcznik z Politechniki

Dwudziesty czwarty maja — dzień urodzin uniwersytetu i politechniki — jest uroczystością obchodzoną co roku świętem łódzkiego środowiska naukowego. W roku 35-lecia Polski Ludowej rocznica powstania największych łódzkich uczelni skłania do refleksji nad dorobkiem i rozwojem ośrodka akademickiego w mieście, które przed wojną, choć liczyło 600 tys. mieszkańców, nie posiadało żadnej szkoły wyższej.

Zajmijmy się tu jedną tylko z siedmiu uczelni Łodzi — politechniką. Dekret z 24 maja 1945 roku, podpisany przez prezydenta KRN — Bolesława Bierut, prezesa Rady Ministrów — Edwarda Osóbkę-Morawskiego i ministra Oświaty — Stanisława Skrzyszewskiego, zezwalał się od następujących stwierdzeń: „Art. 1. Tworzy się Politechnikę Łódzką. Art. 2. Politechnika Łódzka jest państwową szkołą akademicką”.

Dzisiaj można już w pełni ocenić wagę tego dokumentu. Powołano nim do życia uczelnię, która w trudnych powojennych latach wspierała odbudowę przemysłu, a później odegrała ogromną rolę w dziele jego modernizacji i rozbudowy, wreszcie — w ciągu 34 lat swego istnienia — w wielu dziedzinach badawczych zyskała sobie trwałe miejsce w nauce polskiej i światowej.

Stwierdzenie, że początki były trudne, może wydawać się banalnym frazesem. Warto jednak uświadomić sobie, że w maju czterdziestego piątego roku nie było nic oprócz decyzji i przychylności władz, powszechnie odczuwanej przez społeczeństwo Łodzi potrzeby stworzenia politechniki oraz zapału niewielkiej grupki entuzjastów, głównie — przedwojennych wykładowców i studentów Politechniki Warszawskiej. Nie

było sal wykładowych, laboratoriów, aparatury, podręczników, skryptów, programów studiów. Brakowało wykładowców. Okazało się jednak, że wystarczyło pięć miesięcy, by stworzyć podstawy funkcjonowania szkoły. 25 października 1945 r. w Państwowej Szkole Przemysłowo-Technicznej przy ul. Żeromskiego 115, gdzie dziś mieści się Zespół Szkół Włóknienniczych im. W. Tierleszkowej, odbyła się inauguracja pierwszego w dziejach uczelni roku akademickiego. Uroczystości przewodniczył organizator i pierwszy rektor PŁ — prof. dr Bohdan Stefanowski, a wykład inauguracyjny nt. „Drogi i perspektywy fizyki współczesnej” wygłosił prof. dr Andrzej Sołtan. Obecnie inaugurację kolejnych lat akademickich odbywają się w auditorium nazwanym imieniem prof. Sołtana.

W roku 1945/46 na trzech wydziałach PŁ: Mechanicznym (z Oddziałem Włóknienniczym), Elektrycznym i Chemicznym zdobywało wiedzę 983 studentów. Dzisiaj znacznie więcej osób kształci się w Filii PŁ w Bielsku-Białym. W całej politechnice studiuje na ośmiu wydziałach ponad 12 tysięcy studentów. W pierwszym roku akademickim podjęło pracę w PŁ 135 pracowników naukowych, w tym 25 profesorów. Dzisiaj spośród 1447 nauczycieli akademickich politechniki, 199 — to profesorowie i docenci.

W czerwcu tego roku opuści Politechnikę Łódzką absolwent z dyplodem numer 25 000. A więc „dwudziestopięciotysięcznik” z PŁ. A przecież nie minęły jeszcze 34 lata od pierwszej inauguracji. Pierwsza ab-

Dalszy ciąg na str. 4

BAZYLI BOŃCZAK

W SPRAWIE MODELU SZKOŁY WYŻSZEJ

Na temat przyszłości szkolnictwa wyższego napisano i powiedziano już wiele. We wszystkich tego typu pracach i rozważaniach podejmuje się wysiłki zmierzające do określenia kierunków rozwoju i doskonalenia działalności szkół wyższych w perspektywie bieżącej i początku następnego stulecia. Głównym celem jest uzyskanie wyższych jakościowo wartości zarówno pod względem programowym, jak i organizacyjnym. W tej intencji sformułowane zostały tezy Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Są one przedmiotem niniejszego artykułu. Znajdujemy w nich wyraźne odbicie treści XII Plenum KC PZPR.

Minione lata, a zwłaszcza upływające dziesięciolecie, charakteryzowały się dynamicznym rozwojem szkolnictwa wyższego tak w aspekcie jakościowym, jak i ilościowym. W pierwszych latach nastąpił prawie dwukrotny wzrost liczby studiujących. Zwiększyła się wydatnie liczba nauczycieli akademickich. Rozbudowano bazę dydaktyczną, spotęgowano znacznie udział szkolnictwa wyższego na rzecz gospodarki i kultury narodowej.

W bieżącej pięcioletce zwrócono szczególną uwagę na umocnienie czynnika jakości, wyrównanie frontu i pozytywną stabilizację. Umożliwiło to skoncentrowanie energii na podniesieniu efektów realizowanych w uczelniach zadań dydaktycznych, wychowawczych i naukowo-badawczych. Kierunek ten jest zgodny z rosnącym stale zapotrzebowaniem modernizacyjnym gospodarki narodowej

wymagającej kadr z wysokimi kwalifikacjami. W tym ujęciu ścisła więź szkolnictwa wyższego z krajowym kompleksem gospodarczo-społecznym i naukowo-badawczym stanowi fundamentalną zasadę dalszego wszechstronnego rozwoju.

Na gruncie uczelni powstaje przeto konieczność nakreślenia wizji funkcjonowania poszczególnych kierunków kształcenia w bliższej i dalszej przyszłości. Na model pracy polskiej szkoły wyższej składać się będą zadania tradycyjne jak i te, które winny spełniać antycypującą funkcję postępu. Strukturalno-organizacyjne rozwiązania modelowe uczelni powinny zapewnić możliwość elastycznych przeformowań w obrębie kierunku studiów w ramach posiadanego potencjału kadrowego i zaplecza materiałowo-technicznego. Rzecz zrozumiała, iż w systemie programowania perspektywnego uwzględnianie konkretnych postulatów wynikających z przewidywanych wymagań nie może być pominięte.

Mówiąc o modelu szkoły wyższej należy dostrzegać uwarunkowania i kierunki jego rozwoju. Powtarzamy niejednokrotnie, że współczesna uczelnia w sposób zintegrowany realizuje wychowanie, nauczanie oraz działalność naukową. Z wymienionych funkcji wynikają okre-

Dalszy ciąg na str. 4

DZIEŃ DZIAŁACZA KULTURY

W pięknej sali koncertowej Szkoły Muzycznej przy ul. Sosnowej, odbyła się w ubiegłą sobotę uroczystość związana z Dniem Działacza Kultury. Przybyli na nią przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych z sekretarzem KL PZPR, Genowefą Adamczewską i zastępcą prezydenta m. Łodzi, Janem Morawcem.

W ciepłym, serdecznym wystąpieniu Genowefa Adamczewska podziękowała działaczom i pracownikom kultury za ich codzienny trud, za ważki ich wkład w upowszechnianie warto-

ści ideowych i moralnych socjalizmu. Także ich dziełem jest współczesny obraz kultury Łodzi.

Podczas uroczystości, którą otworzył dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi, Wojciech Ekiert, 61 osób uhonorowano Odznakami Zasłużonego Działacza Kultury. Ponadto Honorowe Dyplomy Ministra Kultury i Sztuki wręczono Wandzie Karzewskiej i Włodzimierzowi Szczecińskiemu; dyplomem uhonorowany został również Oddział Łódzkiego Stowarzyszenia Bibliotekarzy Łódzkich, Nagrodę ministra kultury i sztuki otrzymała Halina Pabian. Gratulujemy wyróżnionym.

Uroczystość zakończyła się koncertem uczniów szkół muzycznych.

Pamięć o Leonie Schillerze

W związku z 25 rocznicą śmierci Leona Schillera, Towarzystwo Przyjaciół Łodzi wystąpiło z inicjatywą budowy popiersia wielkiego artysty w alei Jego imienia. Wmurowanie aktu erekcyjnego nastąpiło, jak wiadomo, 24 marca br. Odślonięcie popiersia, którego wykonanie powierzone artyście rzeźbiarzowi, Antoniemu Bilasowi, nastąpi w październiku br.

Spółeczny Komitet Budowy Popiersia Leona Schillera zwrócił się do społeczeństwa miasta Łodzi z prośbą o poparcie tego przedsięwzięcia oraz o wpłaty pieniężne, które uzupełnią fundusz przeznaczony na ten cel przez władze miasta.

Listę ofiarodawców otworzyło XXX Liceum Ogólnokształcące, w którym, z inicjatywy nauczycielki, mgr Krystyny Kowalczyk, zebrano 1.208 zł.

Ponadto wpłat dokonali m. in. Łódzki Oddział SPATIF (15 tys. zł — zysk z aukcji kostiumów teatralnych i Balu Aktora) oraz studenci Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej (4 tys. zł).

Przypominamy nazwę i numer konta: Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, PKO I Oddział w Łodzi, 47513-6581-132, z zaznaczeniem — „Spółeczny Komitet Budowy Popiersia Leona Schillera”.

ZMARŁ JERZY KOTOWSKI

17 maja br. zmarł w Krakowie, w wieku 53 lat, Jerzy Kotowski — scenarzysta, operator i reżyser filmów animowanych, absolwent Akademii Sztuk Pięknych (Famu) w Pradze. Od początku swej pracy twórczej i dydaktycznej związany z Łodzią. Pedagog i docent PWSFTiT w Łodzi, prodziękaw wydziału reżyserii w latach 67-68, prorektor i rektor tej uczelni w latach 1968-1972, były wiceprezydent Światowej Organizacji Szkół Filmowych i Telewizyjnych (CILECT), od 1969 roku członek Rady Wyższego Szkolnictwa Artystycznego w Polsce, przedstawiciel polskiej animacji we władzach Międzynarodowego Stowarzyszenia Filmu Animowanego (ASIFA), kierownik Zakładu Filmu Animowanego i Eksperymentalnego, aktywny działacz organizacji młodzieżowych.

Od 1952 roku nieprzerwanie pracował twórczo w Studio Małych Form Filmowych „Se-Ma-For” w Łodzi, realizując ponad 50 filmów jako scenarzysta, reżyser i operator. Laureat nagrody indywidualnej II stopnia Ministra Kultury i Sztuki w 1972 roku. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem 10-lecia PRL, Złotą Odznaką im.

Od 1952 roku nieprzerwanie pracował twórczo w Studio Małych Form Filmowych „Se-Ma-For” w Łodzi, realizując ponad 50 filmów jako scenarzysta, reżyser i operator. Laureat nagrody indywidualnej II stopnia Ministra Kultury i Sztuki w 1972 roku. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem 10-lecia PRL, Złotą Odznaką im.

Ze chwałono się, to słusznie, bo jest czym. A wspomnienia? Ież ich mają dziennikarze i pracownicy RSW „Prasa” — Janina Krzywopiszka, Włodzimierz Koniecki, Władysław Orłowski, Jerzy Stefko, Maria Szumska, Teresa Wojciechowska (30 lat pracy w zawodzie), czy Halina Batorowicz, Piotr Goszczyński, Jan Grabalski, Irena Misa, Józef Skonieczny, Halina Stepiówna-Modro, Władysław Udalski, Jerzy Walczyński, Zbigniew Wojciechowski (25 lat). Obdzicłona ich dyplomami i nagrodami jubileuszowymi. Ponadto typłohi honorowy Prez. ZG SDP otrzymał za zasługi położone dla dziennikarstwa Gustaw Markun. Sympatyczna ta uroczystość zakończyła się recitalem Kazimierza Kowalskiego

Prozaików w naszym kraju nikt specjalnie nie rozpieszcza. Jeśli dla poetów organizuje się niemal wszędzie różne wiosny albo jesienie artystyczne, to człowiek piszący mową niewianą skazany jest niemal wyłącznie na siebie. Ta samotność jest wielkim przywilejem pisarza, ale są momenty, kiedy chciałoby się ją przełamać, podyskutować o ważnych sprawach z czytelnikiem, posprzać się albo i pokłócić na tematy profesjonalne z kolegami po piórze.

I z takiej to chyba potrzeby narodziła się idea łódzkich Dni Literatury poświęconych polskiej prozie współczesnej. Piszę z przyzwyczajenia „łódzkich”, choć współorganizatorami tych Dni były władze kulturalne województwa ościennych: sieradzkiego i piotrkowskiego, a znaczenie tej sesji pisarskiej było na pewno ponadregionalne. Zadecydował o tym wybór tematu spotkania: obraz Polski lat siedemdziesiątych w literaturze współczesnej, na kartach powieści, w noweliście, w reportażu.

Chodzi o zagadnienie o kapitalnym znaczeniu, bo jest to w rzeczywistości pytanie o identyczność literatury z pulsem czasu, a zarazem o jej nośność, zdolność do wyrażania najgłębszych prawd o człowieku. Pisarze z łódzkiego oddziału Związku Literatów i zaproszeni prozaicy z całej Polski, przy szczerze wypełnionej sali, wysłuchali referatu doc. Witolda Nawrockiego z Katowic, który w swoim wystąpieniu szeroko nakreślił panoramę współczesnej polskiej prozy z uwzględnieniem wydarzeń lat ostatnich. Można by się dziwić, że w tym obrazie tak niewiele znaczy literatura najmłodsza, że „rząd dusz”, jeśli się tak można wyrazić, wciąż dzierżą pisarze generacji starszej i średniej, ale proza to przecież zapis doświadczenia, którego najmłodszy nie potrafił jeszcze zdobyć, bo ono przychodzi z latami.

Szczególna rola w kształtowaniu wizerunku współczesnej Polski przypada zdaniem Nawrockiego powieści, zwłaszcza tej, która podejmuje temat pracy i trudno się z tym nie zgodzić, gdyż w łódzkiej prozie do czynienia z synonimem powieści politycznej.

Ale wróćmy do sesji. Prezes oddziału łódzkiego ZLP Jerzy Wawrzak miał powody do zadowolenia. Czy sprawił to dy-

kuksyjny charakter referatów, czy pojemność znaczeniowa hasła wywoławczego: obraz Polski lat siedemdziesiątych we współczesnej prozie, do dyskusji nie trzeba było nikogo zachęcać. Jej temperatura była od samego początku gorąca, bo idzie przecież nie tylko o to, żeby zostawić swój „Ślad na ziemi”, jak nazywał się niedawno wyświetlany serial TV. Kategorią wyróżniającą literaturę polską spośród literatur innych narodów było od czasów Kochanowskiego głębokie społeczne zaangażowanie, poczucie najgłębszej współodpowiedzialności za losy kraju. I od tej roli nikt literatury nie uwolnił.

Pisarze przekonali się o tym nie raz, spotykając z czytelnikami. I tym razem sesji towarzyszyły wieczory autorskie, na

LITERATURY DNI POWSZEDNIE

hallu biblioteki im. L. Waryńskiego, prezentująca dorobek pisarzy łódzkich lat ostatnich i obrazująca jednocześnie jego dynamikę rozwojową. Jeśli jeszcze kilkanaście lat temu w Łodzi mówiło się jako o mieście poetów (stad wzięły się zlokalizowane w Łodzi ogólnopolskie festiwale poezji, które przekształciły się ostatnio w biennale poetyckie), to dziś coraz częściej mówi się o dokonaniach prozatorskich łódzkiego środowiska, działa tu także spora grupa wybitnych tłumaczy, można wskazać wartościowy dorobek dramaturgów, krytyków, scenarzystów filmowych. Dowodem liczbowym przynajmniej rozwoju łódzkiego środowiska pisarskiego było wręczenie legitymacji Związku Literatów Polskich czterem nowo przyjętym autorom, co umocniło pozycję Łodzi na literackiej mapie kraju za Warszawą i Krakowem.

Ale wróćmy do sesji. Prezes oddziału łódzkiego ZLP Jerzy Wawrzak miał powody do zadowolenia. Czy sprawił to dy-

których wysoka ideowa temperatura dyskusji przeniosła się do świetlic, klubów, bibliotek. I jeśli ktoś przypuszczał, że wyjazd poza granice Łodzi potraktować można relaksowo, to srodze się zabrał.

Pisarze przekonali się o tym nie raz, spotykając z czytelnikami. I tym razem sesji towarzyszyły wieczory autorskie, na

Kolejnego dnia kilkudziesięcioposobowa grupa zaproszonych pisarzy i krytyków przeniosła się do województwa sieradzkiego, aby kontynuować obrady w zduńskowolskich zakładach przemysłu dziewiarskiego „Wola”.

Z punktu widzenia historycznego Zduńska Wola jest trochę młodszą siostrą włókienniczej Łodzi. Zakłady „Wola” mają trochę nietypowy rodowód, powstały bowiem dopiero po wojnie z pominięciem szwalni. Ludzie od początku pracowali tu w nietypowych warunkach, zgodnie z porzekadkiem: „przemysł lekki, praca

— Dalszy ciąg na str. 10

JUBILEUSZ U DZIENNIKARZY

Dwadzieścia lat istnieje już Klub Dziennikarzy w Łodzi. Z tej okazji 19 bm odbyła się w nim uroczystość, podczas której wspomniano, chwalono się (ale w miarę) i mówiono o falszych planach w obecności sekretarza KE PZPR Genowefy Adamczewskiej, i zastępcy Prezydenta m. Łodzi Jana Morawca oraz wielu innych znakomych gości.

POROZMAWIAJMY

z dyrektorem KMP i K mgr FRANCISZKIEM NOWAKOWSKIM

Łódzkiemu Klubowi Międzynarodowej Prasy i Książki stuknęło już trzydzieści lat, a wciąż jest atrakcyjny i cieszy się niesłabnącym powodzeniem. Nie starzeje się, a wprost przeciwnie — z upływem lat nabiera rumieńców. Przypominam sobie jego skromniutkie początki chyba w czterdziestym ósmym roku.

— W czterdziestym dziewiątym, w lutym. Szmat czasu... Łódzki MPIK powstał jako druga tego rodzaju placówka w Polsce. Początkowo mieścił się przy ul. Piotrkowskiej 55, a następnie, w nieco większym lokalu, przy ul. Piotrkowskiej 86. Tutaj, obok czytelników, można już było uruchomić księgarnię z bogatym asortymentem czasopism krajowych i zagranicznych oraz książek w języku polskim i kilku językach obcych. W Klubie organizowano spotkania, odczyty, wystawy malarstwa. W 1951 roku, nasz Klub, jako pierwszy w kraju, wprowadził naukę języków obcych.

— O ile mi wiadomo, kursy języków obcych w MPIK-u cieszą się wielką popularnością.

— Spora. Ale ten nurt dzia-

łałości Klubu można było rozwinąć dopiero z chwilą otrzymania, w 1965 roku, nowego, znacznie większego pomieszczenia przy ul. Narutowicza 8/10. Zresztą, ta większa powierzchnia otworzyła przed Klubem szersze perspektywy także we wszystkich innych dziedzinach jego działalności.

— Jakże to są dziedziny?

— Ogólnie rzecz biorąc, obejmują one działalność społeczno-polityczną i kulturalno-światową, naukę języków obcych i działalność handlową. Głównym zadaniem Klubu, jako placówki polityczno-propagandowej, jest popularyzowanie polityki partii i rządu, reagowanie na ważne wydarzenia polityczne, społeczne, gospodarcze i przekazywanie ich treści społeczeństwu oraz aktywne uczestniczenie w propagowaniu kultury socjalistycznej. Wszystkie te wartości transmitujemy — że użyję tego określenia — do społeczeństwa za pośrednictwem przeróżnych imprez, będących instrumentem naszego przekazu.

— Czy zechciałby pan powiedzieć, jakiego rodzaju są to imprezy?

— Przede wszystkim takie, które kształtują postawy poli-

tyczne i moralne, które rozszerzają i pogłębiają wiedzę o kraju, komentują aktualne wydarzenia na arenie międzynarodowej. Klub włącza się także do obchodów ważniejszych rocznic i świąt narodowych, prezentuje wybitnych ludzi naszego miasta i regionu, zasłużonych działaczy politycznych i społecznych, ludzi nauki, twórców kultury, sztuki. Dokładamy starań, żeby te ważne obchody i święta były eksponowane także w ramach kulturalno-światowej działalności Klubu. Organizujemy więc, interesujące, śmienne twierdząc, programy słowno-muzyczne, wystawy tematycznie związane z obchodzącymi uroczystościami czy rocznicami

Obok tego organizujemy w Klubie spotkania społeczeństwa z dziennikarzami, naukowcami z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, literatami, reżyserami, muzykami, aktorami teatru i filmu. Gościliśmy w naszym Klubie takich wybitnych przedstawicieli świata nauki, kultury i prasy jak na przykład: red. Z. Brontarka, B. Janiszewskiego, E. Męclewskiego, prof. S. Skwarczyńskiego, prof. S. Cwynara, prof. L. Zajęta, reżyserów: A. Wajdę, K. Zanusię, aktorów G. Holubca, S. Niuńskiego, W. Pszoniaka, M. Dmochowskiego i wielu innych.

— Ile takich imprez organizuje Klub w ciągu roku?

— Przeciętnie około siedem-

dziesięciu, jeśli mowa o Klubie MPIK przy ul. Narutowicza, ponieważ jeszcze około pięćdziesięciu podobnych organizuje filia naszego Klubu.

— Filia?

— Tak, mamy filię Klubu w XI Domu Akademickim przy ul. Fikaków 11. Prowadzi ona działalność kulturalno-światową o profilu zbliżonym do naszego, z tym oczywiście, że jest ona ukierunkowana na młodzież. Ma czytelnik, prasę krajową i zagraniczną oraz oar z

kawiarnią. Filia współpracuje ściśle z organizacjami młodzieżowymi.

OKNO

— Powiem panu szczerze, że po raz pierwszy słyszę o takiej filii, i z pewnością nie tylko ja. Duży to lokal?

— Około stu pięćdziesięciu metrów kwadratowych.

— To miernie. Mniej więcej dwanaście metrów wzdłuż i szerzej. Ale dobrze, że cho-



Foto: R. Lucyszyn

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BLĄZEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

Dalszy ciąg ze str. 1

rolewska załoga (część zakładu miejskiego) w dalszym ciągu przy Piotrkowskiej) liczy sobie ponad 2.600 osób.

Wszedłem do stołówki (skądinąd, trzeba przyznać, pięknej), a tam, skoro tylko się rozniosło, że przyszedł dziennikarz w sprawie autobusów, zebrał się od razu spory tłum kobiet, i przez dobrych pięć minut krzyczały, jedna przez drugą, z takim wzburzeniem i pasją, że nie byłam w stanie zadać żadnego rozsądnego pytania.

— Spokojnie — mówię — na miłość boską! Spokojnie! Zechcą panie usiąść i wypowiedzieć się po kolei. Posłuchały. I oto, jako pierwsza, zabrała głos szwaczka-lączarka, Ludwika Kaczmarek.

Jej skargi dotyczyły linii „76”. Mieszka na Teofilowie. Autobus, jadąc do pracy, łapie przy rogu Rójnej i Traktorowej. Pierwszy, według tablicy informacyjnej, powinien zjawić się na przystanku o 4.25. Przyjeżdża jednak dopiero o 4.50 lub 4.55. Wiecej ona kłóci i czeka, marzenie i przystępuje nogami. Wokół, w związku z opóźnieniem, narasta tłok. Trzeba walczyć o wejście. A później, przy Karolewskiej, przesiąść się w tramwaj, bo „76”, który przedtem jechał na Retkinie, teraz skręca w stronę Dworca Kaliskiego. Tu jednakże nie koniec kłopotów. Wysiadając przy rogu Bratysławskiej i Thälmana, nie może, jak dawniej, ruszyć w stronę wadunku zwykłym przejściem, na skróty, albowiem petla tramwajowa ogrodzona została siatką. Ta siatka, mająca pozornie zapewniać ludziom bezpieczeństwo, jest zwykłą bezmyślnością lub złośliwym figiem. Po co w tym miejscu przystanek, skoro człowiek nie może dostać się do swojego bloku na Karolewie? Gdzie zdrowy rozsądek? Czemu zawsze kładzie się ludziom szlaban na wydeptanych ścieżkach? Po to chyba, żeby stworzyć prawdziwe niebezpieczeństwo. Każdego dnia starzy i młodzi, nie wyliczając matek z dziećmi, forsują przez tę cholerną siatkę tory w miejscu najbardziej zagrożonym i najbardziej niewygodnym, aby tylko dostać się jakoś do domu na Narciarskiej. W porach deszczowych jest to akt bez mała samobójczy. Ona, Ludwika Kaczmarek, już nie raz wykręciła nogę, drepząc poprzez skrzyżowania szyn, nie raz ugrzęzła po kostki w błocie, nie raz dralała skrajem jezdnii drząc ze strachu, że ją zaraz potraci samochód. A powroty z roboty do domu są nie lepsze... Autobus, który powinien stać się na przystanku o 12.20 przyjeżdża zwykle o piątnastku. Grand! A z migawką, to już czyste kretynstwo! Wyślawiono ją na trasie okrężną: Teofilów — Plac Barlickiego (autobus „74”) gdzie z kolei trzeba łapać „80”, żeby dostać się na Nowe Sady. Kto choć trochę

zna Łódź, wie, że jest to takie samo połączenie, jakby jechał z Wioława do Warszawy przez Białystok, a za samowolną korektę marszrutę grozi przezeń kara...

Barbara Walczak, także szwaczka, skarży się na linię „54”. Skoro już autobusy mają pod fabryką przystanek, to chyba po to, żeby zabrać robotników i pracowników „Olimpii”, bo innych pasażerów w tym ustroniu prawie nie ma. Otóż — nie! Rozkład jazdy pomyślany jest tak, żeby sobie zakpić z ludzi. Ona na przykład kończy pracę o 13.15, autobus zaś znika z przystanku o tej samej godzinie. Jak kończy wieczorem o 21.30, autobus znika o 21.32. Jeszcze nigdy nie udało jej się zdążyć i czeka później na następny co najmniej pół godziny.

Helena Ciok, brygadystka, dojeżdża „osiemdziesiątką”. Na ten autobus, kursujący wyłącznie w godzinach porannych i wieczornych, zaczyna i kończy pracę zakładu, a więc

ny. I trafia mnie cholera, bo kiedy stoję tak z innymi ludźmi na przystanku, mijają nas setki pustych autobusów z rozmaitymi wywieszkami: AWARIA, DO ZAJEZDNI, itp.

Janina Wągrowa jest brakarka, a jej pretensje także dotyczą linii „69”. Na trzy pospieszne „G”, które leca tą samą trasą, przypada tylko jeden „69”. Na przystanku przy Rzgowskiej pani Janina stawia się punktualnie o 6.30, jednakże w pracy jest dopiero o 7.30. Czy to aby trochę nie za długo?

Marianna Sobczak, robotnik magazynowy, która mieszka w okolicach ulicy Wojska Polskiego, od czasu, kiedy zmieniono trasę tramwaju linii „19”, nie może w żaden rozsądny sposób dostać się do pracy ani autobusem, ani tramwajem. Kombinuje sobie różne połączenia, wychodząc z domu o 5.45, ale i tak nie raz jeszcze się spóźni... Litania trwa.

ka”, wysiadła jedna osoba i kierowca uciekł pustym autobusem, mimo że ludzie wymachiwali do niego rękami. Było to o 21.30 i na następny autobus tłum zmęczonych kobiet musiał czekać do 22.20. Jednym z licznych świadków tego incydentu jest nasz kierowca zakładowy, Marian Więcek.

Obstając przy słowie „złośliwość”, Strzelecki pokazuje zorany oponami autobusowymi trawnik.

— Nasi pracownicy uporządkowali w czynnie społecznym. A ci wagarujący kierowcy, aby sobie skrócić drogę, nie jadą normalną trasą, siłmakiem, tylko od razu, siup, na drugi pas asfaltu.

Autobusy są brudne, zaśmiecone, rzadko kiedy widać coś przez okno, a tłok sprawia, iż kobiety z „Olimpii” wożą ze sobą igły, napastrki i nici, zaczynając dzień pracy od przyszywania oberwanych guzików. Robotnicy codziennie apelują do dyrekcji i Rady Zakładowej: — Zróbcie

zonych obywateli. Zarzuty nie zostały wysłane z pałca.

Posłuchajmy zresztą postulatów Michała Strzeleckiego i przystajmy, że brzmią one logicznie:

— Jeśli tramwaj, wywieszając odpowiednią tablicę, jedzie do zajezdni, to mimo wszystko zatrzymuje się na każdym przystanku i zabiera pasażerów, dzięki czemu przejazd (pewna ilość zużytej drogi elektrycznej jak i pewne zużycie się wagonów), nie idzie na marne. Z autobusami jest zupełnie inaczej. Całkowicie puste, wyruszają z zajezdni i stadami przemierzają miasto szpertem, bez zatrzymywania się gdziekolwiek, jak nieosiągalne widma. Wyruszyły, powiedzmy, z Nowych Sądów i zostawiając po drodze setki ludzi, jadą na swoją krańcówkę — Retkinie, Dąbrowie, Widzew, Teofilów — aby dopiero stamtąd zacząć regularne rejsy. Jakież to marnotrawstwo! Jeden człowiek, kierowca, przemierza samotnie Łódź, eksploatując pojazd, spalając benzynę, potem zaś narzeka się na brak opon czy akumulatorów. Czy autobusy, jadąc do zajezdni lub z zajezdni, nie mogłyby wziąć przystanku z tramwajów? Wystarczyłoby sporządzić odpowiednie tablice z podaniem trasy i zatrzymywać się na przystankach, a puste przeloty w dużej mierze rozładowałyby tłok. Podam konkretny przykład. Tu, obok nas, na przystanku „54” mogłyby się z powodzeniem zatrzymywać jadące z Nowych Sądów na swoją krańcówkę pospieszne: „G” i „F” oraz „69” i „77”. Albo inna sprawa! Na krańcówkach są dyspozycyjne. Czy taki człowiek, kiedy mu się zbierają, powiedzmy, trzy autobusy „L” o tej samej porze, nie mógłby bardziej elastycznie pokierować ich rozkładem? Czy koniecznie musi trzymać się grafiku i puszczać je co ileś tam minut, zamiast wziąć pod uwagę porę dnia, natężenie ruchu i tysiące oczekujących na przystankach ludzi? Wydaje mi się, że zmiany organizacyjne w łódzkim MPK są w obecnej chwili nieodzowne.

Zgadzałem się z Michałem Strzeleckim.

Doceniając trud pracy kierowców i motorniczych, zdając sobie sprawę z ciężkich warunków, w jakich przychodzi im wykonywać swoje odpowiedzialne obowiązki, wiedząc ponadto, iż zdecydowana większość pracowników MPK, to uczciwi, ofiarni, zasłużeni ludzie, nie możemy przecież patrzeć spokojnie na mnożące się, codzienne incydenty tych nieuczciwych oraz pewne zasadnicze błędy (można by powiedzieć: niedowład kontroli i brak myśli przewodniej) w kierowaniu ogromnym, jakże ważnym dla miasta i jego wszelkich dziedzin życia, organizmem komunikacji.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

AUTOBUSOWA GRA W BERKA

przeznaczony niejako specjalnie dla „Olimpii”, też nikt nie może złączyć. Wieczorem, dla przykładu, odchodzi tuż po 21.30, z końcem zmiany, a następny według rozkładu jest dopiero o 22.12. Zatem odjeżdżamy zwykle ponad 40 minut później. Może MPK mogłoby trochę zmienić terminy odjazdu, albo przynajmniej dołożyć jeden kurs?

Bożena Kopeczyńska, podkrawaczka, krytykuje linię „70” i „69”. Makabra! Albo nie ma jednego albo drugiego; w każdym razie przeloty nigdy nie zgadzają się z wywieszoną na przystanku tabliczką. Często leci na pół taksówek, bo już jej wszystko jedno. Często wsiada w „77” i jedzie w tył, do „Bistony”, aby tam zapołąwać na „69”. Kiedyś, nie mogąc złapać ani autobusu, ani taksówki, wsiada w pospieszny „G”, akurat wtedy, kiedy tłok był niewielki i kontroler spełniał w pocie czoła swoje odpowiedzialne obowiązki. Sprawdziwszy jej migawkę, która przecież pospiesznych nie dotyczy, próbował zmusić ją do zapłacenia 300 złotych kary. Trzeba ją było wtedy usłyszeć, ta wiazanka, która za wszystkie grzechy MPK spada na głowę Bogu ducha winnego kontrolera! — Ile czasu traci pani dziennie na dojazdy? — pytam.

— Co najmniej dwie i pół godzi-

Stoję w oknie gabinetu sekretarza KZ, Michała Strzeleckiego. Sekretarz pokazuje mi doskonale widoczną zajezdni autobusową na Nowych Sądach, która wprost roi się od czernych pojazdów. Jest ich tam, bez przesady, ponad 100 — nieruchome, śpiące, w ten ruchliwy, roboczy poranek.

Sekretarz mówi: — Ludzie widzą to wszystko co dzień. I ludzi to drażni. Nie mogą po prostu uwierzyć, że MPK puszcza w kurs wszystkie swoje moce. Wściekają się na tych leni, co zamiast jeździć, parkują pod naszymi oknami, tak, aby nie wypatrzyli ich nikt z zajezdni.

— Jeden z robotników — wtrącam, zastanawia się, co się dzieje z nadwyżką benzyny, która zostaje w zbiorniku po dwóch takich opuszczonych kursach. Czyżby kierowcy...

— Nie wiem. Ja zastanawiam się nad innymi sprawami. Dlaczego jest taki stosunek kierowców do ludzi, którzy ciężko pracują? Przecież komunikacja istnieje nie tylko po to, żeby na siebie zarabiać, a przede wszystkim po to, aby mógł funkcjonować ogromny organizm miejski — fabryki, biura, urzędy. Tymczasem obserwujemy akty złośliwości. Wczoraj, dla przykładu (środa 25 kwietnia) przyjechała pusta „osiemdziesiąt-

coś! Codziennie również skarżą się w Komitecie Zakładowym. I oto zakład, który ma opinię wzorowego w zakresie zaliczania drażliwych spraw swoich pracowników, jest bezradny.

— Wczoraj był u nas przedstawiciel z Komitetu Centralnego. Chciał zorientować się, jak to się dzieje, że radzimy sobie, nie apelując do najwyższych władz miejskich i państwowych, że nasi robotnicy nie muszą pisać pełnych żału i gniewu listów do KC. Wszystko sami!

W czwartym, tegorocznym numerze „Życia Partii”, w artykule „Działalność przez grupy partyjne”, owa samodzielność znalazła uznanie redakcji. „Tak jest na przykład — czytamy — z ZPD, „Olimpia”, za której przykładem inne organizacje partyjne wprowadziły u siebie zwyczaj natychmiastowej reakcji na wnioski zgłaszane na zebraniach grup partyjnych. Takie postępowanie zawiera w sobie duży ładunek wychowawczy, u mianca zasadę współodpowiedzialności całej „załogi”.

— Ale z MPK — przyznaje Strzelecki — dogadać się nie możemy.

W świetle powyższych stwierdzeń — pretensje „Olimpii”, zakładu w pewnym sensie wzorowego, trzeba potraktować z należytą powagą. Nie jest to historyczny głos rozkapry-

ciaż na tym jednym osiedlu mamy coś w rodzaju „Empiku”. Na innych osiedlach Klubów MPiK oczywiście nie ma?

— Nie ma.

— Nie wspomnieli pan o wystawach w Klubie, a sam widziałem pare.

— Istotnie, organizujemy w Klubie ekspozycje malarstwa i grafiki, rzadziej wystawy fotograficzne. Wystawiali tu swoje prace m. in. M. Abakanowicz, J. Szajna, D. Muszyńska-Zamorska, K. Kędzła, K. Huczer-Kocińska, H. Hofman. Obok

dziedziń malarstwa, grafiki oraz polityki i gospodarki krajowej.

— Wachlarz działalności Klubu jest tak szeroki, że wymaga, sądzę, konsultacji specjalistów. Czy wobec tego Klub współpracuje z instytucjami wyspecjalizowanymi w dziedzinach, które znajdują się w zasięgu jego pracy?

— Oczywiście. Taka współpraca jest niezbędna, zapewnia bowiem naszym poczynaniom pożądany poziom. Współpracujemy z Łódzkim Ośrodkiem Kształcenia Ideologicznego, z

Szerokim. Ponad pięćset tytułami. Są to dzienniki, tygodniki, miesięczniki, a nawet kwartalniki krajowe i zagraniczne, z krajów socjalistycznych i kapitalistycznych.

Dodam przy okazji, iż nasza biblioteka jest dobrze wyposażona w obcojęzyczne słowniki, leksykony, encyklopedie itp., z których mogą korzystać użytkownicy pism, komplectwanych w naszej czytelni. Poza tym, jeśli chodzi o prasę krajową, to w specjalnych tektwach tematycznych kompletujemy wycinki artykułów poruszających ważne wydarzenia polityczne i gospodarcze w kraju.

— Ile tytułów prasy polskiej i zagranicznej macie w czytelni? W przybliżeniu.

— Mam je w pamięci: 256 tytułów prasy krajowej, 67 radzieckiej, 98 innych krajów socjalistycznych i 99 tytułów prasy zachodniej. Razem 520.

— Łódzki Empik ma stare tradycje nauki języków obcych, o czym wspomnieli pan na początku naszej rozmowy. Ile osób uczy się języków obcych w Klubie w tym roku?

— Około półtora tysiąca.

— To bardzo dużo. Jak dajecie sobie radę z taką ilością słuchaczy?

— Dajemy sobie radę, ale nie jest to wcale łatwe. Ilość chętnych narasta lawinowo, niestety niedostatki tak zwanej bazy lokalowej hamują rozwój tego bardzo pożytecznego nurtu naszej działalności. W roku 1959 w łódzkim Klubie MPiK było 8 kursów nauki języków obcych, a w 1962 ich liczba wzrosła do 40! W minionym roku szkolnym musieliśmy uruchomić 65 kursów języków

obcych, na które uczęszczało 1.361 słuchaczy. Moglibyśmy uruchomić ich znacznie więcej, ale gdzie? W tym roku szkolnym mamy już blisko półtora tysiąca słuchaczy. Ze zgłoszeń wynika, że ich liczba mogłaby być co najmniej podwoić.

— Jakich języków uczycie?

— Francuskiego, niemieckiego, angielskiego, włoskiego i szwedzkiego.

— Odpłatnie?

— Tak.

— Metody nauczania języków obcych przeszły w ciągu minionych 30 lat dużą ewolucję.

— Owszem, dlatego też stale modyfikowaliśmy i modyfikujemy w dalszym ciągu formy pracy ze słuchaczami. Od 1971 roku nastawiliśmy się na intensyfikację nauczania języków obcych. Musieliśmy adaptować lokal Klubu na sale lekcyjne i zainstalowaliśmy w nich sprzęt audiowizualny. Mamy kilka rzutników przezroczystych i pisma, trzy laboratoria językowe, kilkadziesiąt magnetofonów i liczne zestawy taśm magnetycznych w różnych językach, na różnych poziomach zaawansowania. Nasz obecny księgozbiór lektur uzupełniających, podręczników oraz pomocy z zakresu metodyki nauczania liczy 9.041 tytułów, ogólnej wartości ok. 600 tysięcy złotych. Oprócz klas w lokalu Klubu, mamy jeszcze dwa dodatkowe pomieszczenia przy ul. Rosevelta i Liமானовskiego, ale i te go jest za mało. Poza tym, z różnych względów, lokale te nie nadają się na sale wykładowe. Zajęcia w trzech tak oddalonych od siebie punktach miasta utrudniają pracę wykładowcom, i słuchaczom, i sekretariatowi kursów.

— Czy słuchacze są zadowoleni z metod nauczania?

— Tak. Mamy wysoko kwalifikowaną kadre lektorską i metodyczno-pedagogiczną. Większość naszych lektorów to pracownicy wyższych łódzkich uczelni. Siedmiu lektorów ma tytuły doktorów nauk humanistycznych.

— Każdego dnia czytelnia Klubu jest zapełniona do ostatniego miejsca, przy stoiskach z prasą, książkami i płytami zawsze tłum, wystawy są licznie odwiedzane, a na imprezach niemal z reguły komplety. Czym tłumaczyć tę do 30 lat nie słabnącą frekwencję?

— Sądzę, że wyższym ogólnym poziomem intelektualnym łódzkiego społeczeństwa i w związku z tym — stałym wzrostem zainteresowania sprawami kraju i świata, chęcią poznania problemów społeczeństw innych krajów za pośrednictwem prasy i literatury zagranicznej. Stąd też, między innymi, ów trend do nauki języków obcych. Wiele osób przyciąga do Klubu także liczne imprezy, o których wspomnieliśmy już wcześniej. Staramy się, w miarę naszych możliwości, jak najlepiej spełniać funkcję szerokiego okna na Polskę i świat, spratać zamówieniu społecznemu, wychodzić na spotkanie wszystkim zdrowym tendencjom. W naszej pracy propagandowej, wskazując na osiągnięcia, nie pomijamy również trudności, które towarzyszą dynamicznemu rozwojowi kraju. Mam tu na myśli nie tylko trudności ekonomiczne, lecz także trudności, które wynikają z postaw ludzi i są konsekwencją nieuczciwości, braku kompetencji i karierowiczostwa.

W ciągu trzydziestu lat istnienia Empiku w Łodzi nieustannie doskonalono i wprowadzono coraz wyższe formy pracy, wzbogacano i urozmaicano, w miarę posiadanych środków — programy działalności

Klubu. Tylko tą drogą można utrzymać żywy kontakt ze środowiskami, w których działamy. Sądzę, że wszystko to tworzy klimat, który przyciąga do Klubu ludzi młodych i starszych.

— Parę słów o „prozie” Klubu, to jest o jego działalności handlowej: czy Empik zarabia na siebie, czy też jest subsydiowany przez resort?

— Zarabia. Nawet godziwie. W ubiegłym roku na przykład ogólnie wpływy ze sprzedaży płyt, reprodukcji, pocztówek itp. oraz czasopism i książek w języku polskim i językach obcych, wyniosł 8 milionów 768 tys. złotych oraz z tytułu nauki języków obcych — 2 mln 500 tys. zł. Ogółem: 11 mln 268 tys. złotych. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że i ten rok powinien być dla nas łaskawym.

— Panie dyrektorze, tak dla celów porównawczych, ile Klubów MPiK ma Warszawa?

— Szesnaście.

— A Łódź?

— Jeden o pełnej działalności i...

— ... filię w środowisku studentów.

— Tak.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

ODGŁOSY 3

NA ŚWIAT

tego przygotowujemy również wystawę o treści politycznej i społecznej.

— Na przykład?

— Na przykład ekspozycja pn. „60 rocznica powstania Węgierskiej Republiki Ród”, która prezentowała 133 dni istnienia socjalistycznej Węgier w 1919 roku, czy ekspozycja „Austriacy na wygnaniu w czasie II wojny światowej” i in. Dużą popularnością cieszą się wystawy z cyklu „Kalejdoskop przemysłowej Łodzi”, które eksponują produkty i socjalny dorobek łódzkich zakładów przemysłowych. W ciągu roku organizujemy przeciętnie dwadzieścia kilka takich wystaw z

Wydziałem Propagandy i Kultury KL PZPR, z Wydziałem Kultury Urzędu m. Łodzi, z SZMP, SZSP, z TPP-R, TWP, z łódzkim i warszawskim Towarzystwami Muzycznymi, z Towarzystwem Przyjaciół Sztuk Pięknych, z Towarzystwem Przyjaciół Polsko-Indyjskiej, Towarzystwem Polsko-Austriackim, z Muzeum Sztuki, Teatrem Wielkim i szeregiem innych.

— Klub ma duże osiągnięcia w popularyzowaniu czytelnictwa prasy krajowej i zagranicznej, co często podkreśla się przy różnych okazjach. Proszę mi powiedzieć, jakim asortymentem prasy dysponuje Klub na co dzień?

Dalszy ciąg ze str. 1

solwentka PL — dr Helena Illukowicz — obecnie prezes Sekcji Emerytów Rady Zakładowej ZNP — ma jeszcze w pamięci swój egzamin dyplomowy. Komisji przewodniczył wówczas prof. Osman Achmatowicz, późniejszy rektor politechniki.

Jeszcze pracują w PL wykładowcy, którzy prowadzili tu zajęcia dydaktyczne w pierwszych latach po wojnie. Za życia jednego pokolenia powstała i rozwinęła się w Łodzi uczelnia należąca do czołówek wyższych szkół technicznych w Polsce.

Specjaliści z przemysłu wysoko oceniają poziom wiedzy teoretycznej i przygotowania do zawodu absolwentów PL. W wielu dyscyplinach badawczych stworzono w politechnice szkoły naukowe, których dorobek jest znany i ceniony nie tylko w kraju. Trzynastoletnie umów o bezpośredniej współpracy z uczelniami węgierskiej, czeskiej, kubańskiej, niemieckiej, Wielkiej Brytanii i ZSRR, organizacja w PL międzynarodowych konferencji i sympozjów naukowych, aktywny udział badaczy z politechniki w wielu międzynarodowych organizacjach i komisjach naukowych, wygłaszanie przez nich wykładów w czołowych uczelniach świata oraz referatów na międzynarodowych zjazdach i konferencjach, publikacje w najważniejszych periodykach specjalistycznych — to wymowne przejawy ożywionej współpracy z ośrodkami badawczymi innych krajów, a także wysokiej oceny, z jaką spotykają się za granicą wyniki badań prowadzonych w PL.

Obok wysokiego poziomu merytorycznego prowadzonych prac badawczych, o miejscu uczelni w polskiej nauce decyduje też znaczenie tych prac dla gospodarki i społeczeństwa naszego kraju. Politechnika Łódzka zawsze była ściśle związana z przemysłem. Zasadniczym przemianom ulegały jednak cele, zakres i formy tej współpracy. W pierwszych latach po wojnie polegała ona na wykonywaniu ekspertyz tech-

nicznych oraz na bieżących konsultacjach koniecznych przy uruchamianiu zdemastowanego podczas wojny przemysłu. Dziś naukowcy politechniki włączają się do rozwiązywania centralnie koordynowanych problemów badawczych, mających kluczowe znaczenie dla stałej modernizacji naszej gospodarki, dla wzrostu wydajności w produkcji i poprawy jakości wyrobów. W rozwiązywaniu tych problemów zaangażowano około 60 procent całego potencjału uczelni. Trwają starania o zdobycie prawa koordynacji krajowych badań w niektórych grupach tematycznych. Istnieją po temu duże możliwości w uczelni, która w wielu dyscyplinach naukowych jest najsilniejszą w kraju.

W sześciu instytutach jednego w Polsce Wydziału Włókienniczo-Papierniczego prowadzi się badania, których poziom stawia Łódzką uczelnię w światowej czołówce ośrodków nauki o włóknie. Niezwykle szeroki jest zakres tematyki badawczej tego wydziału. Obejmuje on metrologię włókienniczą, strukturę włókna, modyfikację włókien i wyrobów włókienniczych metodami fizycznymi i chemicznymi, usprawnienia technologiczne w zakresie przędzalnictwa, tkactwa i dziewiarstwa, konstrukcje maszyn włókienniczych, otrzymywanie włókien chemicznych o żądanych własnościach, organizację i zarządzanie w przemyśle lekkim i wiele innych grup tematycznych.

Również Wydział Chemii Spożywczej nie ma swego odpowiednika w innych uczelniach kraju. Naukowcy tego wydziału szyczą się cennymi osiągnięciami badawczymi w dziedzinie technologii środków spożywczych, biochemii technicznej, mikrobiologii przemysłowej i technologii fermentacji. To właśnie w Politechnice Łódzkiej powstała polska szkoła naukowa cukrownictwa, tutaj opracowano technologię otrzymywania ciepłostajnej alfa-amylazy bakteryjnej — enzymu o dużym znaczeniu dla przemysłu włókienniczego i spożywczego oraz wiele innych technologii, m. in. biosyntezy aminokwasu o nazwie lizyna, otrzymywania susu ziemniaczanego i skrobi modyfikowanej, hybridów

Dwudziestopięciotysięcznik z Politechniki

drożdży piekarniczych, wódek typu „calvados” i nowych związków zapachowych. Obecnie na wydziale prowadzi się wiele prac badawczych w ramach rządowego programu: „Optymalizacja produkcji i spożycia białka”.

Trzecia, obok włókiennictwa i chemii spożywczej, unikalna specjalność reprezentowana w PL — to chemia i technologia celulozy i papieru. Naukowcy z uczelnianego Instytutu Papiernictwa i Maszyn Papierniczych wykonali z myślą o potrzebach przemysłu liczne prace badawcze, które już wdrożono do praktyki, bądź przygotowano do wdrożenia. Większość z tych opracowań dotyczy takich usprawnień konstrukcyjnych lub technologicznych, które prowadzą do oszczędności surowców i poprawy jakości produkcji w przemyśle celulozowo-papierniczym. Opracowano m. in. nowoczesne metody wykorzystania trocin odpadowych do produkcji mas celulozowych, efektywniejszego wykorzystania makulatury, stosowania niektórych gatunków drewna liściastego w miejsce deficytowego — sosnowego i inne usprawnienia.

Ugruntowaną pozycję w świecie naukowym mają osiągnięcia specjalistów z PL w takich dziedzinach, jak stateczność powłok, teoria mechanizmów, dynamika łożysk ślizgowych, badania maszyn przepływowych, obróbka cieplna i powierzchniowa metali, odlewnictwo, chłodnictwo, dynamika pojazdów, badania zjawisk związanych z budową maszyn elektrycznych i transformatorów wysokiego napięcia oraz z budową i eksploatacją łączników niskonapięciowych, analiza właściwości dynamicznych automatyzowanych układów napędowych i układów sterowania optymalnego, badania podstawowe dotyczące struktury i reakcji związków chemicznych, m. in. fosforoorganicznych, krzemooorganicznych i pigmentów do barwienia tworzyw sztucznych i włókien syntetycznych, stereochemia fosforu, chemia radiacyjna, inżynieria chemiczna, opracowanie nowych materiałów i konstrukcji budowlanych, badania kryształów i laserów i wiele innych.

Liczne opracowania naukowców Politechniki

Łódzkiej znajdują szerokie zastosowanie w przemyśle. Z braku miejsca wymienię tylko dwa przykłady nowych technologii, które już przyniosły wielomilionowe korzyści gospodarce narodowej. W Instytucie Chemii Organicznej opracowano, wspólnie ze specjalistami pabianickiej „Polfy”, technologię otrzymywania polskiego leku przeciwrheumatycznego „Ibuprofen”, który z powodzeniem zastąpił importowany dotychczas z Wielkiej Brytanii „Brufen”. W Instytucie Materiałoznawstwa i Technologii Metali powstała technologia uszlachetniania powierzeni metali metodą tzw. azotoniarczenia gazowego. Po obróbce tą metodą ruchome części maszyn i urządzeń zyskują odporność na zużycie i zatarcie.

Zarówno pod względem liczby przyznawanych patentów, jak też ilości patentów wykorzystanych w praktyce, PL znajduje się w ciągu ostatnich lat w ścisłej czołówce polskich uczelni. Wysoki poziom prac badawczych i zajęć dydaktycznych prowadzonych w Politechnice Łódzkiej sprawił, że w roku 1976 Rada Państwa przyznała tej uczelni jedno z najwyższych odznaczeń państwowych — Order Sztandaru Pracy I klasy.

W swej codziennej pracy naukowcy politechniki myślą przede wszystkim o przyszłości. Obecnie naczelnym problemem stojącym przed uczelnią jest sprawne wykonanie odpowiedzialnych i trudnych zadań wynikających z Uchwały XII Plenum KC PZPR. Warto jednak czasem, choćby z okazji jubileuszu, obejrzeć się za siebie, by ocenić wartość dotychczasowych dokonań. Świadomość imponującego dorobku minionych lat będzie z pewnością pomocna w realizacji coraz ambitniejszych zadań naukowych i dydaktyczno-wychowawczych; wpłynie — jak sądzę — mobilizująco na pracowników uczelni, a jej przyjaciel i partnerów zachęci do udzielania porady i pomocy.

PAWEŁ PATORA



Foto: R. Łucyszyn

Dalszy ciąg ze str. 1

ślone zadania i prognozy skłaniające do podejmowania ukierunkowanych programów. Mogą, a nawet powinny, dotyczyć ustawicznego doskonalenia kadr z wyższym wykształceniem, wzmocnienia i rozszerzenia wielorakiego oddziaływania szkół wyższych na ekosystemy społeczne i regiony. Podobny postulat można wysunąć w skali różnych gałęzi życia gospodarczego. Chodzi jednocześnie o zachowanie odpowiednich priorytetów zadaniowych. W tej samej kategorii zadań należy rozdzielić właściwych specjalistów, z których obecnością wiąże się uzyskanie wyższego poziomu, lepsza produkcja i awans społeczno-zawodowy instytucji, środowiska i mikrojednostki terenowej. Kierunki rozwoju uczelni zastępują na wnklie wieloaspektowe przemyslenia. Trzeba jasno skonstatować, że nasze szkolnictwo wyższe dokonało wielkiego skoku we wszystkich niemal nurtach swojego działania. Dowody takie znajdujemy choćby na obszarze Uniwersytetu Łódzkiego. Przyszłość wiąże się niewątpliwie ze zwiększeniem efektywności wykorzystania posiadanej i wzbogacanej zasoby sił i środków dla umocnienia wieloimiennego rozwoju kraju. Potrzebne jest więc nie tylko pełne rozszerzenie rysujących się potrzeb, ale równocześnie dostosowanie do ich charakteru rozwiązań praktycznych i specjalizacji naukowej uczelni.

W perspektywie czasowej oczywistym problemem jest modernizacja procesu kształcenia. Potrzebne jest zwłaszcza stworzenie naukowych przesłanek doboru treści i form przekazu tak,

aby przygotowanie kadr było najbardziej zgodne z wymogami rozwoju nauki i techniki. Niebagatelną sprawą staje się mechanizacja i automatyzacja w szkole wyższej; wyposażenie w niezbędne pomoce audiowizualne zakładów, sal wykładowych i pracowni. Warto podkreślić, iż nauczanie zawodu również na poziomie szkoły wyższej może odbywać się w oparciu o najnowszą technikę, wyposażenie, jak też i kadre specjalistyczną przyszłego pracodawcy. Wydaje się, że tak powinno wyglądać kształcenie nowoczesne, elastycznie reagujące na występujące potrzeby w dziedzinie zatrudnienia.

Kształcenie specjalistów z wyższym wykształceniem przestaje być jedynie sprawą uczelni, jest ono i będzie udziałem całego społeczeństwa. Stosowny jest pogląd, aby większość szkół wyższych związana była z regionem. Znajdując to swoje odbicie w stanowisku Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, prof. dra hab. Janusza Górskiego: „Uważamy, że tam gdzie to jest potrzebne i rokuje nadzieje na jakościowo dobre wyniki kształcenia, można organizować studia bezpośrednio w zakładzie pracy lub instytucji resortowych, który wspólnie z macierzystą uczelnią zapewni nie tylko niezbędną bazę dydaktyczną, ale też — i to stanowi o wadze całego przedsięwzięcia — bezpośredni udział studentów w procesie technologicznym; spożytkowanie laboratoriów, pracowni i biur projektowych zakładu pracy do celów edukacyjnych”. Tę samą opinię można wyrazić o rozwijanych obecnie studiach przemysłowych.

Nie trzeba udowadniać, jak wielkie znaczenie powinno być przypisywane funkcjom wychowawczym szkół wyższych. Podstawowym obo-

W SPRAWIE MODELU SZKOŁY WYŻSZEJ

wiązkiem uczelni jest kształcenie specjalistów o najwyższych kwalifikacjach zawodowych i społecznych. Można skrótkowo powiedzieć, iż nowoczesna technologia kształcenia i wychowania jest transmisją do edukacji tych wartości, które wynikają z naturalnej bazy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Zadania wychowawcze realizować powinni — i czynią to właściwie — doskonalić swoje „rzemiosło pedagogiczne” nauczyciele akademicki. W tej dziedzinie konieczne jest rozwijanie równoległe funkcji dydaktycznych i naukowych. Warunek ten wiąże się z działalnością wszystkich nauczycieli akademickich. Zasługuje on na systematyczne pogłębianie i doskonalenie. Jest sprawą oczywistą, iż dobry przykład emanujący z postawy profesora, docenta czy asystenta wychowuje, ale równocześnie zobowiązuje także do samowychowania. Ta zasada musi obowiązywać studentów, trzeba ją rozwijać we wszystkich dostępnych formach organizacyjnych z myślą o sytuacjach bieżących i oczekiwanych. Wychowanie jako proces ideowy, obywatelski i kulturotwórczy jest i będzie zawsze jedną z podstawowych rekomendacji uczelni.

Z całokształtem działalności szkolnictwa wyższego łączy się integralnie praca naukowo-badawcza i związany z nią nierozłącznie rozwój kadry naukowej. Składniki te tworzą autorytet uczelni, ukazują jej dokonania i możliwości nie tylko edukacyjne, ale również szeroki wachlarz zdolności inwencyjnych i wykonawczych, osadzonych w programach rządowych, wczelnych,

Autor artykułu
doc. dr BAZYL BOŃCZAK jest prorektorem Uniwersytetu Łódzkiego

resortowych i własnych. Praca naukowo-badawcza stymuluje rozwój szkół wyższych, pogłębia ambicje i aspiracje uczonych i kandydatów do tego miana, budując tym samym nowe cenne wartości w sferze intelektualnej, specjalistycznej akademickiej i obywatelskiej. Działalność naukowo-badawcza nie może być wyłączona z rytmu życia gospodarczego kraju. Powinna stanowić jego twórcy i owocny rezonans. Tego rodzaju podejście to zobowiązująca płaszczyzna dla wszystkich nauczycieli akademickich. Natu-

ralnie, we wszystkich poczynaniach niezbędne jest systematyczne podnoszenie poziomu, utrwalanie atmosfery wysokich wymagań, uzyskiwanie stopni i tytułów naukowych przy zachowaniu obowiązujących norm etyczno-zawodowych.

Nadmienimy, iż obejmowanie stanowisk nauczycieli akademickich przez doświadczonych praktyków dysponujących odpowiednimi predyspozycjami stanowi formę sprzecznych korzyści, formę godną szerszego stosowania.

W tezach resortowych właściwą rangę nadano organizacji szkół wyższych. Wiadomo jest, iż tworzenie naukowych podstaw ulepszenia organizacji pracy poszczególnych mechanizmów jest — między innymi — zadaniem potencjału naukowego badawczego. W tej mierze istotną rolę mają do spełnienia liczne uczelniane i międzyuczelniane placówki specjalistyczne. Na ten moment zwracają uwagę naukowcy i eksperci w zakresie polityki naukowej i postępu technicznego jak np. prof. dr hab. J. Kluczyński.

Dyskutując nad przyszłym kształtem edukacji narodowej nie sposób pominąć jej podstawowe ogniwo jakim jest szkoła dziesięcioletnia. Wprowadzenie w życie dziesięcioletniej szkoły ma początek procesu doskonalenia naszego szkolnictwa — od przedszkola, aż po uczelnie. Fakt ten przyniesie przemianę, w efekcie której niezbędne będzie stworzenie metod doboru młodzieży uzdolnionej oraz ustalenie wielu innych powiązań z pogranicza zreformowanego szkolnictwa średniego i studiów wyższych. W tej samej kategorii należy widzieć adaptację średniego szkolnictwa zawodowego i wyższego. Nie ulega wątpliwości, iż zamierzony cel, stanowiący wyraz strategii edukacyjnej, będzie osiągnięty ewolucyjnie w ramach unowocześniania modelu strukturalno-programowego szkół wyższych. Dodajmy, że przebudowanie systemu edukacyjnego — i co jest ważne również w świadomości — dyktuje konieczność dokonania wyboru między celami długodystansowymi i wypływającymi z aktualnej rzeczywistości. I jedno i drugie związane są z konkretnym zapotrzebowaniem gospodarki i kultury narodowej na kadry fachowców. W tej materii niezbędne jest branie pod uwagę doraźnych warunkowań jak i zadań perspektywicznych. Na tym rozległym polu szkolnictwo wyższe i jego reprezentanci zarówno studenci, jak i nauczający — przedstawiciele nauki i dydaktyki mają i będą mieć zawsze wiele do powiedzenia.

Wypada teraz pomówić o zjawiskach optycznych, występujących w atmosferze ziemskiej, a których jednym z przejawów są miraży, zwane też niekiedy fatamorganą. Złudzenia te zwane są szczególnie na pustyniach, gdzie panują szczególne warunki optyczne. Powietrze przy samej powierzchni Ziemi bywa tam bardzo gorące — nagrzane od rozpalonego promieniowaniem słonecznym piasku staje się rzadsze niż wyżej położone jego warstwy, odwrócić się normalnie. Powoduje to szczególne załamywanie się światła. Wskutek tego odległość horyzontu może ulec skróceniu do zaledwie 200 czy nawet około 100 metrów, a bardziej oddalone przedmioty czy szczególne rzeźby terenowej ukazują się wtedy jedynie fragmentarycznie i w zniekształconej postaci, często obcięte od dołu. Góry, czy ich wierzchołkowe partie, mogą przybrać kształt tarcz czy cygarowatych statków, unoszących się w powietrzu.

Analogiczne zjawiska obserwuje się nad silnie rozgrzanymi przez promieniowanie słoneczne szosami. Oto na przykład jeden z interesujących wypadków, jaki został opisany w gazecie amerykańskiej Denver Post z dnia 19 października 1950 roku:

„Pięciu pracowników z pola naftowego w południowo-zachodnim Wyomingu poinformowało, że jasniejący, latający spodek, najwidoczniej kierowany przez samolot amerykańskiego lotnictwa wojskowego, niedawno posuwał się za ich samochodem, a potem uszedł z wielką prędkością, gdy się oni zatrzymali, by mu się przyjrzeć. Doniesienie złożył Louis Mandrich z Rock Springs. Powiedział on, że blyszczącą, srebrzystą tarczą pikowała na nich zbliżając się na odległość 300 jardów (około 100 metrów) od jego samochodu, kiedy oni i czterech innych pracowników z pola naftowego jechali szosą w pobliżu Beryl Springs w stanie Wyoming.”

„Tarcza przebywała w pobliżu wozu, dopóki znajdował się on w ruchu” — powiedział. — „Robiła wrażenie, że jej średnica wynosiła około 15 stóp (4,5 m) i miała kształt spodka. Odnaczała się tak blyszczącą barwą, że świeciła oślepiając.”

Mandrich powiedział, że tarcza uszła „ze straszną prędkością, gdy zatrzymał wóz.”

Według oświadczenia pracownika z pola naftowego, w pobliżu tarczy, kiedy dostrzeżono ją po raz pierwszy, leciał dwusilnikowy samolot, noszący znaki sił powietrznych. „Samolot i tarcza były dla siebie wzajemnie dobrze widoczne i sprawiły wrażenie, że współpracują ze sobą” — powiedział Mandrich. — „Samolot odleciał wtedy, gdy zniknęła tarcza.”

Jak stwierdza w swym komentarzu prof. Menzel, warunki panujące na szosie były odpowiednio do wywołania mirażu. Tuż za wozem gorące powietrze znajdowało się w szybkim ruchu i wznosiło się ku górze. Tam właśnie powstawał miraż odzwierciedlający fragment lecącego samolotu wojskowego o srebrnym kolorze. Miraż ten, wskutek ruchu powietrza, unosił się w górę i szybko posuwał się w

kości 20.000 stóp (6100 m) wskutek braku tlenu do oddychania i zmarł udusiwszy się przed rozbięciem samolotu.

Tajemniczy obiekt, który lotnik ścigał do chwili zgonu, początkowo identyfikowano z planetą Wenus. Jednakże dalsze badania wykazały, że wzniesienie proste i azymut Wenus (określające położenie ciała na sferze niebieskiej) i tajemnicze zjawisko w odpowiednich przedziałach czasowych były odmienne. Obiekt ten ciągle uważa się za niezidentyfikowany.

Tego samego dnia, mniej więcej w dwie godziny później, wielu obserwatorów dostrzegło nad Bazą Sił Powietrznych Lockburne'a w Columbus w stanie Ohio niezwykłe zjawisko niebieskie. Opisał je jako „okrągłe czy owalne, większe od samolotu C-47 i poruszające się poziomo z prędkością większą niż 500 mil na godzinę (800 km/h)”. Siedzieli oni obiekt wzrokowo z wieży obserwacyjnej bazy Lockburne przez ponad dwadzieścia minut. Obserwatorzy stwierdzili, że jaśniał on barwą od białej do bursztynowej, pozostawiając za sobą bursztynowy ślad wydmuchu pięciokrotnie większy od jego własnych rozmiarów. Poruszał się jak winda i w pewnej chwili sprawiał wrażenie, że dotyka powierzchni Ziemi. Nie słyszano żadnego dźwięku. W końcu obiekt wyblaknął i obniżył się ku horyzontowi.

Biorąc pod uwagę porę roku i warunki meteorologiczne, jakie wówczas mogły panować oraz wyniki obserwacji, przeprowadzonych w pobliżu Fort Knox Columbus, które dzieli stosunkowo tylko niewielką odległość, dochodzi się do dość jednoznacznego wniosku. Tajemniczym obiektem, który ścigał kapitana Mantella, było najprawdopodobniej tak zwane słońce pozorne. Znajdowało się ono, jak zwraca na to uwagę prof. Menzel, wyżej niż samolot niebezpiecznego pilota był w stanie wnieść się. Zafascynowanie nieznanym Mantellowi, osobliwym zjawiskiem meteorologicznym i zapamiętały pościg za nim uniemożliwiły dostrzeżenie w porę niebezpieczeństwa związanego z niedoborem tlenu na znacznej wysokości nad powierzchnią Ziemi. Wytłumaczenie przyczyn tragedii nasuwa się prawie automatycznie.

Ukazanie się coraz większych ilości tajemniczych obiektów, rosnąca fala zainteresowania latającymi spodkami spowodowały jednak również pojawienie się w prasie relacji, które wypadają określić jako co najmniej fantastyczne. Jeśli wierzyć doniesieniom dziennikarzy, owe niezłomne statki grasowały nad Stanami Zjednoczonymi nader zuchwale. Pozwalały sobie na loty nawet nad Białym Domem w Waszyngtonie i na śmiało ewoluje w pobliżu Kapitolu. Z informacji prasowych wynikało niedwuznacznie, jak marnie są chronione w USA obiekty o znaczeniu państwowym i strategicznym. We wspomnianym przypadku aż pół godziny potrzebowały pościgowce, aby dotrzeć nad stolicę kraju zagrożoną przez domniemaną inwazję z kosmosu. A tymczasem tajemnicze coś, pilotowane czy zdalnie kierowane przez

Nie będziemy śledzić dalej mrozących krew w żyłach przygód znacznych obywateli z Sutton. Odetchnijmy raczej zapoznając się z zaskakującą przygodą dwóch południowoamerykańskich kupców.

„Zdarzenie nastąpiło w roku 1956. Pewnego wieczora dwaj kupcy jechali samochodem w kierunku Caracas (Wenezuela). Nagle, w świetle reflektorów dostrzegli trzy drobne istoty, zajęte jakby zbieraniem ziemi w pobliżu szosy, ponad którą, na wysokości kilku metrów, nieruchomo wisiała w powietrzu wielka, jaśniejąca tarcza...”

Wszystkie istoty z baśni defilowały przed zdumionymi ludźmi wskrzeszone niezawodnym piórem bardziej przedsiębiorczych współpracowników prasy. Niektóre z nich jakimś cudem wpały nawet w ręce skądinąd wydawałoby się bezradnych władz amerykańskich, jak na przykład ów jedyny Kosmita ocalały z katastrofy trzech latających spodków w stanie Montana w roku 1952. Jak doniósł dobrze poinformowany dziennikarz „była to istotka o wzroście czterdziestu centymetrów, którą następnie ulokowano w specjalnym inkubatorze. W ten sposób egzotycznego przybysza udało się utrzymać przy życiu... Po długich wysiłkach poddano trudnościom nauzenia go języka angielskiego w takim stopniu, że mógł się normalnie porozumiewać...”

Do zagorzałych propagatorów tego rodzaju wiadomości o latających spodkach i unoszących się w nich istotach nie z tej Ziemi należał niemiody już Amerykanin polskiego pochodzenia, George Adamski. Jak czytamy w notatce prasowej zamieszczonej w „Trybunie Ludu” z 2 czerwca 1959 roku, „Kariera George'a Adamskiego, który jeszcze kilka lat temu prowadził skromny kiosk z parówkami w Kalifornii, zaczęła się od tego, że pewnego dnia spotkał on gentelmana z... Wenus. Po czym przyjaźnie zaczęły się mnożyć. Pojawił się u niego przybysz z Marsa, następnie z Saturna, wreszcie — jeden z owych wizytatorów z przestrzeni międzyplanetarnej zaproponował mu przejażdżkę po tejże...”

Wypada tu dodać, że badania amerykańskie, przeprowadzone w latach 1966/67 przy użyciu próbników „Viking” wykazały, że na Marsie najprawdopodobniej nie ma nawet najprymitywniejszych przejawów życia w postaci drobnoustrojów.

Owa przejażdżka odbył Adamski nie samotnie. „Towarzyszysz mi w tej podróży eksploracyjnej dwie przepiękne kobiety — uroczą aż nie do wiary blondynką, imieniem Kalna i równie „nie do wiary” — Ilmuth...”

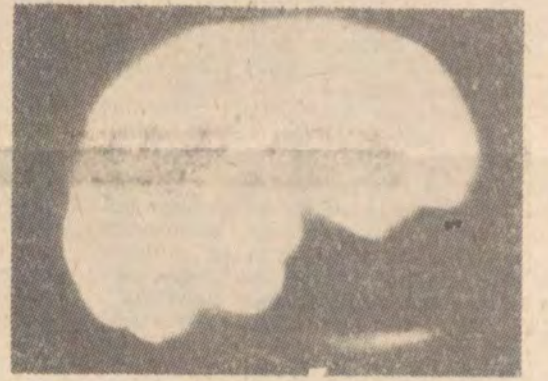
Rzecz charakterystyczna, że we wszystkich tych wyprawach Adamski nie miał świadków z Ziemi. Zdjęcia zaś, które później demonstrował, były akurat zawsze nieostre wskutek złych warunków atmosferycznych. Pomimo to już jego pierwsza książka „Latające spodki wylądowały” miała nakład 100 tys. egzemplarzy i była rozchwytywana. Adamski odbył następnie po-



UFO nad Wenezuelą? Zdjęcie słynne i o niepodważalnej autentyczności.

Zgodnie z tym raportem, w okresie od czerwca 1947 roku do końca 1953 zaobserwowano 3201 przypadków, z których 22 proc. można było uznać za niezidentyfikowane obiekty latające. W ciągu dwudziestu lat 1953—1954 zarejestrowano 854 przypadki, ale tylko 9 proc. z nich należało do kategorii UFO. W roku 1955 liczba zauważonych latających spodków zmalała do 3 proc., w roku 1957 — do zaledwie 1,4 proc.

A oto cytat z „Raportu nr 14”:
„Jest faktem, że zapoznając się z niewielu doniesieniami czytelnik staje się przekonany, iż „latające spodki” są realne i stanowią pewną postać tajemniczego wynalazku. Reakcja ta nie zależy od przygotowania czytelnika lub jego stanowiska wobec problemu przed zetknięciem się z nim. Niestety, praktycznie wszystkie artykuły, książki i informacje dotyczące zjawiska „latających spodków” zostały napisane przez ludzi należących do tej kategorii, tzn. ludzi — którzy czytali niewiele wybranych raportów. Podkreślenie tego stanu rzeczy stanowi fakt, że we wspomnianych publikacjach z reguły cyto-



Tak zwana spirala Leibniza. Prawdopodobnie jest to efekt przyrodniczy, jednak jego natura nie została, jak dotychczas, przekonująco wyjaśniona.

wane są jedynie bardziej niesamowicie brzmiące doniesienia. Gdyby nie ta powszechna skłonność psychiki do urzekania się tajemniczością, jest możliwe, że problem tego rodzaju wcale by nie powstał.

Podana wyżej reakcja czytelnika niewielu raportów, wywołująca u niego przekonanie, że „latające spodki” są prawdziwe i że stanowią jakąś postać tajemniczego wynalazku, jest w sobie mamiąca. W miarę czytania coraz to większej ilości doniesień uczucie, iż „spodki” są czymś rzeczywistym, błędnie, a pojawia się uczucie sceptycyzmu odnośnie ich istnienia. Wreszcie czytelnik osiąga punkt nasycenia, po czym kolejno czytane raporty nie wnoszą niczego nowego i nie budzą dalszego zainteresowania. Uczucie przesytu było powszechne u personelu, pracującego w ramach projektu („Blue Book”) i w wyniku wymagalno skutownego wysiłku ze strony tych ludzi, by pozostać obiektywnymi”.

Cdn.
„ASTRONAUTYKA”



Angielski przypadek nocnego światła.

OLGIERD WOŁCZEK

PRZYBYSZE Z KOSMOSU? (2)

śląd za pędzącym samochodem. Gdy ten zatrzymał się, zjawisko zniknęło, a samolot odleciał uniemożliwiając ponowne pojawienie się niepokojącego fenomenu.

Spotkanie automobilistów z rzekomo latającym spodem okazało się niegroźne, budząc lokalną sensację i stanowiąc wdziczny temat dla miejscowej prasy. Nie zawsze jednak takie wydarzenia kończyły się optymistycznie. Szczególnego rozgłosu nabrała prawdziwa tragedia, która wydarzyła się 7 stycznia 1948 roku.

Tego dnia ludzie znajdujący się w Bazie Sił Powietrznych im. Godmana w Fort Knox w stanie Kentucky spostrzegli na niebie niezidentyfikowany obiekt, przypominający „stożkową porcję lodów pokrytą od góry czerwieńmi”. Byli liczni świadkowie tego wydarzenia. A oto fragment oficjalnego raportu amerykańskiego lotnictwa wojskowego opisującego wygląd zjawiska i przebieg wydarzeń:

„Trzy samoloty zbliżyły się do obiektu i doniosły, że jest on metalowy i o „kolosalnych rozmiarach”. Jeden z pilotów opisał go jako okrągły, przypominający ize, a niekiedy, prawie cięki”.

Dowódca lotu, kapitan Thomas F. Mantell, skontaktował się z wieżą kontroli lotów Bazy Godman i złożył wstępny raport, że obiekt porusza się na wysokości godziny dwunastej z prędkością równą połowie jego własnej. W meldunku radiowym podał: „Zbliżyłem się teraz do niego, aby mu się dobrze przyjrzeć. Znajduje się na wprost przede mną i wciąż porusza się z prędkością wynoszącą mniej więcej połowę mojej... Przedmiot ma wygląd metaliczny i ogromne rozmiary. Porusza się teraz w przed tak szybko jak ja... to znaczy z prędkością 360 mil na godzinę (około 580 km/h)”.

Kapitał Mantell meldował następnie z pokładu swego samolotu: „Wznoś się teraz na wysokość 20 tysięcy stóp (6100 m) i jeśli się nie zbliżę, zaniecham pościgu”.

Była godzina 15.15. Był to też ostatni kontakt radiowy, który Mantell nawiązał z wieżą kontroli lotów Bazy Godman.

W późniejszej porze dnia jego ciało znaleziono we wraku samolotu w pobliżu Fort Knox.

W pięć minut po zniknięciu Mantella z jego formacji pozostałe dwa samoloty powróciły do Godman. W kilka minut później jeden z nich podjął na nowo poszukiwania... przebadawszy teren 100 mil (160 km) w kierunku południowym do wysokości nawet 33.000 stóp (około 10 km)... lecz niczego nie odkrył.

Późniejsze dochodzenia wykazały, że Mantell prawdopodobnie utracił przytomność na wyso-

kości obcą inteligencję, od dwóch godzin bezkarnie hulano nad stolicą Stanów Zjednoczonych kpiąc sobie z zarządzeń, do których przede wszystkim ze względu na bezpieczeństwo, stosować się muszą wszystkie ziemskie statki powietrzne. Podobno urzędowe czynniki USA, molestowane przez wzbudzoną opinię publiczną, wzbierały się od wydania oficjalnego komunikatu na temat wręcz kompromitujących wydarzeń!

Lecz nie była to jeszcze największa sensacja. Oto gazety amerykańskie doniosły na przykład, że latem 1955 roku pewien Amerykanin z prowincji przybył do Waszyngtonu zamierzając przy okazji zwiedzić Departament Stanu. Gdy wkroczył do budynku urzędu, strażnik w pobliżu windy zamierzał go zatrzymać. Wtedy właśnie otworzyły się drzwi jednego z drzwi i wyszło z niego pięciu mężczyzn. Wówczas jeden z nich położył się. I w tym momencie ów Amerykanin z prowincji podbiegł, by podtrzymać niefortunnego obcego dyplomata. Wtedy też, chwytając ramię nieznanego, odniósł niezwykle wrażenie, iż pod jego peleryną jest gęste, welniste futro. A dzieła się to w upalny dzień letni! Ponadto zauważył, że ów dyplomata ma twarz ukrytą za maską.

Był i znacznie przyjemniejsze spotkanie. Jeden ze świadków lądowania latającego spodka stwierdził, jak podawała polująca na sensację prasa, że dowódca była oszałamiająco piękna kobieta. Była odziana w sukienkę, miała cerę oliwkową, a włosy kruczoczarne. Ziemski „świadek” przekonał się po półgodzinnej rozmowie, prowadzonej płynnie w języku angielskim (!), że przybyłe nie były Europejczykami. „Nie wymienili mi wtedy swego imienia”, oświadczył „Widziałem ich jeszcze jedyną raz. W tym czasie dowiedziałem się, że piękna kobieta ma na imię Aura Ranes i że pochodzi z planety Clarion... Ostatnie nasze spotkanie nastąpiło 2 listopada 1952 roku. Aura przyrzekała mi, że powróci w przyszłym miesiącu”.

Nie zawsze jednak świadkowie lądowań latających spodków, uczestniczący w spotkaniu przybyłych nimi „Istot z innych światów” mieli takie szczęście jak bohater wspomnianego romanu. Jak podał to wizerzenia zawsze dobrze poinformowana prasa zagraniczna, 12 września tego samego roku 1952 w Sutton w Stanach Zjednoczonych pięciu miejscowych obywateli po wylądowaniu „statku z przestworzy” natknęło się na... „prerażającego potwora. Miał on około dwa i trzy czwarte metra wzrostu, pot obficie ściekał mu po twarzy, zle biłszy w oczach rozstawionych w odległości 30 cm (!) od siebie dopełniały widoku nieopisaną grozę”.

droż dookoła świata, w czasie której wygłaszał odczyty i odnosił dalsze sukcesy. Został nawet zaproszony przez dwór holenderski.

Rozgłos, jakiego nabrały zjawiska latających spodków, skłonił również innych ludzi do szerzego zajęcia się tą sprawą, do nadania jej pewnych form organizacyjnych i przybrania w szaty naukowości. Same spodki oznaczono poważnie brzmiącym terminem „Unidentified Flying Objects”, czyli „niezidentyfikowane obiekty latające”, w skrócie — UFO. Powstała pseudonauka „ufologia”, a jej adepti zaczęli się nazywać „ufologami”. Utworzyły różne kluby ufologiczne i ich zrzeszenia rozwijające nader ożywioną działalność.

Uczeni zaczęli zastanawiać się nad niebywałym rozgłosem, jakiego nabrały zjawiska latających spodków i przyczynami tego fenomenu. Wielokrotnie już cytowany prof. Menzel przeanalizował go na terenie amerykańskim, ponieważ tam właśnie zjawisko odznaczało się wyjątkowym zasięgiem i tam jest właśnie „ojczyzna” współczesnych wydarzeń z tego zakresu. Prof. Menzel zwrócił uwagę na szczególne właściwości psychiki mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Pamiętamy przecież słynną audycję radiową Orsona Wellesa na temat inwazji Marsjan, osnutą na tle znanej powieści H. G. Wellsa „Wojna światów”. Niezwykły sposób nadania tej audycji wywołał wśród nerwowych Amerykanów prawdziwą panikę i spowodował niemało szkód i wypadków.

Prof. Menzel podkreślił, że jego współziomkowie lubią niesamowitość, rozczytują się z zamiataniem w mrozących krew w żyłach powieściach, chociaż namietnie na filmy o King-Kongu, Frankensteinie czy wilkołakach. Co więcej „My Amerykanie” — napisał prof. Menzel — „pragniemy zachować i pielęgnować nasze złudzenia. Nie chcemy, by nam mówiono, że święty Mikołaj jest baśnią”.

Postawmy kropkę nad i. Właśnie w Stanach Zjednoczonych podjęto zdecydowaną akcję długotrwałego, systematycznego badania zjawisk określanych nieprecyzyjnym terminem „latających spodków”. Od roku 1948 akcja ta, prowadzona przez lotnictwo wojskowe USA, nosiła nazwę kodową „Project Blue Book” — „Projekt Błękitna Księga”. Po dziesięciu latach realizacji tego przedsięwzięcia został opublikowany tzw. „Raport nr 14”, relacjonujący wyniki wszechstronnych badań wykonywanych przez znanych uczonych. Należał do nich i prof. Allen Hynek, wówczas wicedyrektor Obserwatorium Astrofizycznego Instytutu Smithsonian'skiego w Cambridge w stanie Massachusetts.

Kolejny fragment książki W. Kardina „Jak długo trwała półwiecza” mówi o pobycie gen. Karola Świerczewskiego m. in. w USA, dokąd udał się z misją specjalną aby przekonać ogromną emigrację, że warto wrócić do Ojczyzny i tu budować nowe życie.

...Na przestrzeni dziesięcioleci dramatyczna historia rozrzuciła Polaków od Australii po Kanadę. Teraz kraj zbierał swoich, rozproszonych synów. Ziemię Zachodnie potrzebowały ludzi, obiecywały ziemię, ulgi. Nowa Polska z gotowością wyciągała rękę do Polaków rozproszonych po świecie. Jednakże i ona także potrzebowała pomocy i zrozumienia. Ludzie mieszkający daleko winni się przekonać, że ojczyzna to nie gabinet londyńskich polityków-emigrantów, ale naród odbudowujący swoje miasta i wsie.

Takiej misji, zaoceniczej Świerczewski dotąd jeszcze nie miał. Po raz pierwszy w powojennej historii polski generał w randze wiceministra odwiedził USA, Kanadę i Meksyk.

Bijący brawa delegacji III Kongresu Słowian Amerykańskich rozstąpił się, robiąc drogę po której szedł, Świerczewski-Walter, w galowym mundurze, z bojowymi odznaczeniami Związku Radzieckiego, Hiszpanii, Polski. Nazajutrz, 22 września, wystąpił

ską, kuchnią, gdzie śpiewał chór dziewcząt w kolorowych góralskich spódnicach. Gospodarz usiłował sfotografować się z generałem. Zdjęcie uśmieci w witrynie. Niezła reklama. W atelier — co prawda w drugim końcu miasta — czeka na nich Polak — fotograf.

Pokreony przez podagrę mistrz w szerokich spodniach, płacząc polski z angielskim, długo się przymierzał, zmieniał zastawy na reflektorze. Sfotografował Świerczewskiego wspólnie z gospodarzem restauracji i osobno. Nie od razu ich puścił. W pokoju obok czekała kawa. W międzyczasie wywołano negatywy i zrobiono odbitki.

Z matowego, ziarnistego kartonika Świerczewski spoglądał spode łba: ledwo rozmyte światłocienie zmarszczek, rzeźba załamań fałd od nosa do kącików ust, obrzękła ciemność pod oczami. Zrećność fotografa zmiękczyła linie, zamgliła surowość wzroku...

Jako przedstawiciel Polski i jej armii złożył wieniec na mogile Nieznanego Żołnierza, na wojskowym cmentarzu Arlington w Waszyngtonie. Jako wysłannik Polaków walczących w Hiszpanii, wręczył odznakę „Dąbrowszczaków” Paulowi Robesonowi. Wrzuczył Robeson śpiewał pieśni, te same, co kiedyś w Hiszpanii z Ernestem Buchem. Po nich, na estradę wbiegła Izabela...

W wojskowych kołach Ameryki okazywano polskiemu wiceministrowi należny szacunek, na jego cześć wydawano przyjęcia. Nie przeszkadzało

ruje handlem spółdzielczym. Ma wiele trudności. Ale najmniej przeszkadza mu w tym jego proletariacka dumna... Tak, ma on niezwykle syjące nazwisko — Pszczółkowski. Nie byłeś emigrantem, Bob?

— Walczyłem w Hiszpanii.
— Cieszę się z całego serca, że dorobiłeś się niezgorszego jorda. Wypijmy, Bob, za proletariacką dumę...

Po wyjściu „lincolnowca” wezwał oficera do zadań specjalnych, jeszcze jednego właściciela syjącego nazwiska — Jana Krzywickiego.

— Wydawało mi się, Janie, że jesteś czymś zagniewany. Wall Krzywicki przyznał się, że zdenerwował go list żony. Wysłał jej jako upominek zegarek, a ona, okazuje się, wolała by obrączkę ślubną. Kobieta w odmiennym stanie piękniejszy ona lepiej, niż zegarek.

— Skąd mogliśmy wziąć obrączki, obywatelu generale? Pobraliśmy się po wyjściu z obozu, obdarci i bosi.

— Czekaj was szczęście, Janku Uspokój żonę...

Rosja roku 1914 intrygowała go, młodzika, swoją tajemniczością. Hiszpania 1936 pociągała burzliwym porywem. Polska 1944 wstrząsnęła wielkością tragedii. Ameryka 1946 była obojętna, gdyż irytowała bluźnierczo sytym dobrobytem. Irytowała tym mocniej, że porównywał ją do dalekiego od dobrobytu i sytości własnego kraju.

W dzień, w amerykańskich hote-

W drodze powrotnej Świerczewski zatrzymał się w Paryżu, spędził tu parę dni z przybyłymi zewsząd żołnierzami „Marsylianki”, z hiszpańskimi emigrantami. Towarzysz, wyznaczony przez francuską partię, by go pilotować w Paryżu, poinformował, że mieszka tu była hiszpańska balerina, Izabela. Czy Walter nie zechciałby jej zobaczyć?

Świerczewski sam nie wiedział, chce — czy nie?

Jakiś czas — wyjaśnił francuski towarzysz — Izabela biedowała, ale pomocy nie przyjęła.

— Kiedy nie chcesz lub nie wiesz, co odpowiedzieć. Lata nie mają znaczenia. Ty zupełnie źle mówisz po francusku, natomiast ja się nauczyłam.

Skinęła. Kelner postawił dwie szklanki z napojem o fioletowej barwie, talerzyk z orzeszkami. Świerczewski upił i odstawił.

Izabela ścisnęła dłońmi wysoką szklankę. Uśmiechnął się. Dawniej też tak robiła.

— Nie mam szczęścia i nie będę go miała. Wyobrażasz sobie samotną starość w obcym kraju?
Świerczewski sięgnął po portfel.



Jedno z ostatnich zdjęć gen. Karola Świerczewskiego.

— Zorganizujcie spotkanie — niechętnie poprosił Świerczewski.

O oznaczonej godzinie towarzysz posadził go przy stoliku w bistro i odszedł.

Poznał ją z daleka po tanecznym kroku. Z bliska poznać było trudniej. Po co wystawiać na pokaz utuchone ręce?

— Salut, Icha! Jak żyjesz?

— Nie zapomniałeś? Icha Świerczewski nazywał Izabelę rzadko, ona sama siebie tak nazywała. To imię przypomniało mu się na widok jej odsloniętych rąk.

— Słyszałam, że jesteś jakimś ministrem czy coś takiego?

— Coś takiego.

— Jesteś szczęśliwy, Walterze?

— W naszym wieku trudno dokładnie odpowiedzieć.

— Nie trzeba.

Poznał ten jej bezapelacyjny ruch dłoni.

— Tu pracuję. Dawniej, na tamtej estradzie. Teraz w kuchni. Nie, nie, nie potrzebuję pieniędzy. Ani się waż... Więcej się nie zobaczymy. Mam twoje prezenty. Zwrócę. Zostaw wizytówkę.

Zmarszczywszy czoło, czytała:
— Koszmar: Świerczewski. Dobrze, że ukryłeś nazwisko.

Przełożył:
EUGENIUSZ IWANICKI

W. KARDIN

ŚWIERCZEWSKI NA DRUGIEJ PÓŁKULI

na mityngu w Madison Square Garden. Tlum reagował na każde zdanie wcześniej, niżli megafony zdałyby nadać je po angielsku.

Świerczewski spotykał się z farmerami, bankierami, drwalami, dziennikarzami... Zasypany go lawiną pytań: na jakich warunkach przyznawana była pożyczka, czy nowe ziemie są urodzajne, ile kosztują materiały budowlane, czy pozwala się mówić po polsku, czy to prawda, że na ulicach Warszawy gwałcą kobiety, co to takiego socjalizm...

Gdy wyczerpywała się cierpliwość, odcinał się żartami: *gwałcą tylko na specjalnie wyznaczonych ulicach, wybór tras należy do pań. Socjalizm — to, kiedy nie ma fraków i cylindrów, natomiast jest dużo szkół, szpitali i kiedy zapalki nie dzielą się na cztery...*

Ktoś stwierdził, że do ojczyzny powracają jedynie młodzi oficerowie? — W składzie delegacji są: pułkownik i major z Londynu. Proszę dotknąć munduru. *Angielskie sukno...*

Konferencja prasowa — to potyczki lokalne. W Świerczewskim budzi się hazardzista: podnosi do ust kwadratowy mikrofon i mówił jednym tchem, gdy rozlegały się oklaski; podnosił głos, gdy trzeba było zagłuszyć gwizdy.

Po kolejnym wystąpieniu, zmęczonego odwożono do restauracji z pol-

to jednak, że przydzielono mu dwóch smętnych aniołów-stróżów w cywilu. Aniołowie byli początkującymi i gdy stawali się zbyt natrętni, wiceminister zniknął, wprawiając ich w rozpamiętanie.

Wieczorami, do hotelu wpadał do Świerczewskiego „lincolnowiec” — weteran z Madrytu i znad Ebro. Wówczas przestawał być wiceministrem-dyplomata. Po prostu — Walter. Przed nim nie „mistry”, nie „gentleman”, nie „signory”, nie „panowie”. Po prostu — postarzali chłopcy, których — co za niebywała rzecz — pamiętał z imienia. Pamiętał nie tylko tych, co przyszli dzisiaj, lecz i tych, którzy nigdy się nie zjawiają... Imiona, imiona, imiona...

W szelkach i pantoflach krążył po pokoju.

— Wybaż, Bob.

— Po co ta ceremonia, Walter. Nie jesteśmy na Wall Street. Jak ty z twoją proletariacką dumą... Po co kumać się z grubymi rybami, których cnota jest jedynie w tym, że noszą nazwiska zakonniczone na -ski i -zski...

— W twoim fordzie, Bob, zbyt nisko jest usytuowana kierownica. Czy to nie przeszkadza?

Poklepał „lincolnowca” po zakrąglonym brzuszku.

— Kiedy w wywołanej Warszawie uruchomiono tramwaj, ludzie świętowali... Mój frontowy przyjaciel kie-

lach, hotelowych restauracjach, klubach prasowych, Świerczewski zapoznawał ludzi z Polską. Myślał o niej nocami. Myślał, jak człowiek i jak polityk. Bez uproszczeń, nieuniknionych w czasie rozmów i dyskusji. Bez nacjonalistycznych zapędów wobec rodaków zza Oceanu.

Pisał do siostry: „Wiele tu łepaków”. Narzekał na tęsknotę: „Jestem chory od samego tu pobytu. Ciągnie do ojczyzny — nie wytrzymuję”.

Zaplanowany na trzy tygodnie wyjazd przeciągnął się do trzech miesięcy. Czy można było przewidzieć, że w Stanach Zjednoczonych wypadnie na przykład prowadzić rozmowy o gobelinach, wywiezionych przez Niemców z Wawelu, a przez Amerykanów z zachodnich terenów Niemiec? (Postawił na swoim — gobeliny oddano)... Nie planowano kupna rasowych koni. Ale kiedy przedstawiciele Polonii amerykańskiej wręczyli czek na poważną sumę, Świerczewski ruszył do stadnin. Znał się na koniach i wiedział, jak są potrzebne na polskich wsiach. Osobiście wybrał i kazał wysłać do województw, o żadnym nie zapominając.

Konie dotarły, gdy już nie żył. Nie było także w planach zapalenia płuc. Nie dokończył leczenia, nie wytrzymał sterylnej szpitalnej nudy — uciekł.



Sulejów nad Pilicą. Perla architektury wczesnośredniowiecznej — pocysterski zespół klasztorny. Foto. T. DZIKOWSKI

o skutkach nalotu. „Było tak — opowiadali oni — jakby niebo się rozwarło i ogień, i żelazo sypały się na nas. Ziemia drżała pod nogami, domy chwiały się i zapadały z trzaskiem. Nie mogliśmy niczego dostrzec z powodu dymu i wstęszę przez przeraźliwego dudnienia. Przyszło to raptownie jak Plaga Siódmego Anioła i raptownie się skończyło...”

„Jesteśmy w Sulejowie. Nie, tego nie da się opisać, tzn. działania naszej broni. Nawet fotografie dają tylko słabe wyobrażenie o tym, co ujrzelśmy

spogląda na nas z wyrazami nienawiści w twarzach. Jedną z nich wykrzykuje za nami przeraźliwie, złorzecząc nam...”

Na rynku spotykamy starego człowieka. Jest on zajęty klejeniem na ruinach jakiegoś oszalowania z desek. Chodzi prawdopodobnie o tymczasowe schronienie. Przystajemy i obserwujemy go. On nie przerywa sobie pracy. Zbliżamy się, a tłumacz pyta z mojego polecenia: „Czy możemy panu pomóc?” On podnosi wzrok i potrząsa głową. „Czy pan jest sam? — pytamy — „Tak” —

Sulejowie, Wieluniu, Warszawie, w pacyfikowanych miasteczkach i wsiach, w obozach masowej zagłady, w lochach gestapo. „Pomagali!”

Sulejów, w którym dziś, po czterdziestu latach od tamtych tragicznych dni, tysiące ludzi spędza latem urlopy, by wypoczywać, korzystając z uroków nadpilicznego, leśniego krajobrazu, podziwiać odrestaurowaną perłę architektury — pocysterski zespół klasztorny sprzed osmiu wieków (na jego tle sam Kmicie stoczył pojedynek z księciem Bogusławem,

tego już także przez wroga Radomska, panika udzieliła się również sulejowianom. Zaczęli oni opuszczać miasto, kryjąc się w okolicznych lasach i wioskach. Na swoje nieszczęście, następnego dnia, w poniedziałek 4 września, wielu powróciło do swoich domostw. Tego dnia około szóstej wieczorem Niemcy zaatakowali Sulejów z samolotów, w ciągu niespełna godziny trzykrotnie powtarzając bombardowanie miasta. Zanim 7 września wkroczyli do Sulejowa, był on bombardowany jeszcze 5 i 6 września.

PTAKI NADLECIAŁY W PONIEDZIAŁEK

„Słyszeliśmy jeszcze tylko łomot rozpadających się murów i krzyki rannych. Wybiegliśmy na ulicę i spojrzeliśmy ku niebu. Odlatywały nasze ciemne maszyny „Ptaki piekielne” — mówili...”

Tak chępli się, relacjonując jedną z bardzo wielu zbrodni niemieckiej Luftwaffe, hitlerowski oficer-lotnik, który we wrześniu 1939 roku znalazł się w zbombardowanym Sulejowie nad Pilicą i podzielił się tą relacją w zbiorze zbójcekich

wspomnień pt. „Unsere Flieger über Polen”.

Oto jego relacja:

„Przed cztermiastoma dniami obrzuciliśmy bombami wraz z inną grupą samolotów „Stukas”, to miasteczko (Sulejów — przyp. mój). Było ono wówczas zajęte i bronione przez polskie doborowe oddziały tak, że nasza piechota stanęła tam w miejscu i nie mogła ruszyć naprzód. Nalot trwał wówczas zaledwie trzy minuty. Nasz tłumacz, podoficer, władający językiem polskim biegł jak niemieckim, rozmawiał z mieszkańcami Sulejowa, którzy opowiadali mi

na własne oczy. Dom przy domu zniszczony aż po fundamenty, dachy porywane, półpiętra rozbite, ulice podziurawione metrowymi lejami. Dom przy domu leżą jak wypatroszone zwierzęta. Pogięte obelkowania, posciel, stoły zwisają z pustych otworów okiennych przypominając wyrwane wnętrzności...”

Przechodzimy milcząc przez wygaste miasto. Z mieszkańców nie widać prawie nikogo. Tylko czasami przebiega obok nas jakaś postać, by zniknąć gdzieś między ruinami jak spłoszone zwierzę. Jednak kilka kobiet pozostaje pośrodku drogi i

mówi. — „Czy pan nie ma rodziny?” — „Oni wszyscy nie żyją” — odpowiada...”

Zbójcecka дума z dokonanego dzieła śmierci i zniszczenia chwilami spłata się w tej relacji z nutką uczłowiczenia: „czy możemy panu pomóc?”... „czy pan jest sam? W naszym kraju — nad Wisłą, Wartą i Pilicą, mordem i pożogą wygaszono tę nutę. I nie tylko w naszym kraju — w Związku Radzieckim, Jugosławii, wszędzie gdziekolwiek dotarł ludobójczy faszyzm hitlerowski. „Pomagali!”. Uśmiercać miliony ludzi bombami w czasie dywanowych nalotów, jak w

„Plaga Siódmego Anioła” — jak to biblijnie określił hitlerowski oficer — nastąpiła jednak w ów poniedziałek 4 września. Na setkach mogił na sulejowskim cmentarzu wyrzuto tę datę jako datę ostatniego dnia życia wielu, najczęściej jeszcze młodych ludzi.

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

NAJWAŻNIEJSZY

Właśnie teraz, kiedy zbliża się moment podpisania radziecko-amerykańskiego porozumienia SALT II, blok NATO podejmuje kroki, które wręcz wzmagają wysiłek zbrojeń i hętną proces odprężenia. W tej sytuacji kraje członkowskie Układu Warszawskiego wyszły z kolejną inicjatywą pokojową. Jest nią — znany już z publikacji prasowych — dokument z obrad ministrów spraw zagranicznych państw członkowskich Układu Warszawskiego, które odbyły się w dniach 14-15 maja br. Potwierdza on aktualność podpisanej w ub. roku w Moskwie deklaracji Doradczego Komitetu Politycznego Państw-Stron Układu Warszawskiego. Przypomnijmy, iż przedstawiono w niej wiele inicjatyw, zmierzających do konstruktywnego rozwiązania szeregu podstawowych problemów współczesności, a przede wszystkim do zahamowania wysiłku zbrojeń i następnie — rozbrojenia.

miętać i dziś. U schyłku lat 70, pod osłoną mitu o sowieckim zagrożeniu, atlantyccy politycy i generałowie chcą znów zawrócić Europę do czasów „zimnej wojny”, rozkręcić nową spiralę wysiłku zbrojeń. Oficjalnym powodem utworzenia NATO była „obrona przed ewentualną agresją radziecką”. Twierdzenie to powtarzane wszędzie i przy każdej nadarzającej się okazji. Cały obóz socjalistyczny wiedział, że jest ono niezgodne z prawdą. Także niektórzy trzeźwo myślący politycy Zachodu uważali je za wysłane z palca. To nieprawdziwe twierdzenie było jednak w owych czasach niezruszonym dogmatem zachodniej propagandy i wielu ludzi w to wierzyło. Amerykański polityk, G. Kennan, który w pierwszych latach powojennych niemal zrobił, żeby je upowszechnić, w 1954 roku pisał: „Pogląd, że Rosja dąży rzekomo do napadu na Zachód, zrodziła zachodnią wyobraźnię”. Dziś, w świetle dokumentów, które zebrał znany radziecki obserwator polityczny, Lew Bezymienski, okazuje się, że w latach 1945-49 nie Związek Radziecki przygotowywał się do uderzenia na Zachód, lecz wiodący politycy Zachodu przygotowywali się do wojny ze Związkiem Radzieckim. Nie jest to plodem wyobraźni i świadczą o tym fakty. Oto niektóre z nich. 24 maja 1945 roku brytyjski marszałek, Francis Alanbrooke, odnotował w swoim pamiętniku: „Dziś wieczorem uważnie przeczytałem referat dotyczący możliwości rozpoczęcia działań wojennych przeciwko Rosji w wypadku, jeśliby w toku dalszych rozmów z nią wyłoniły się kom-

o 8 atomowych bombardowaniach Moskwy! W 1947 roku, za wiedzą i z rozkazu prezydenta Trumana, całą tę działalność scentralizowano pod dowództwem przewodniczącego zjednoczonego komitetu szefów sztabów, gen. Bradleya. I tak w 1949 roku ujrzał światło dzienne plan wojny ze Związkiem Radzieckim pod kryptonimem „Dropshot”. Jego przewodnią koncepcją polegała na tym, żeby na Związek Radziecki rzucić 300 bomb atomowych i 20 tys. ton „zwykłych” bomb. W ślad za tym 250 dywizji amerykańskich i innych krajów NATO miało wtargnąć do krajów Wschodniej Europy. Z pomocy uderzenia na ZSSR — pisał Brown — miało nastąpić z Półwyspu Kolskiego, a na południu — przez Bałkany na Ukrainę. Wreszcie, przewidywano końcowe stadium — okupację. Do okupowania Związku Radzieckiego i krajów Wschodniej Europy przewidywano 37 dywizji. Wszystko to przy pomocy sił zbrojnych NATO! Tak więc Pakt Północno-Atlantycki i jego wojskowa organizacja stały się instrumentem polityki wskiej grupy mocarstw zachodnich. Utworzenie NATO było ciosem dla struktury współpracy, która się wykrystalizowała między ZSSR, Anglią, USA i Francją w latach wojny. Jak wiadomo, strukturę tę zaakceptowano w Poczdamie. Jednakże utworzenie NATO wyraziło jej niepowetowane szkody. Radą ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw, zbierającej się regularnie w latach 1945-1948 i 1947, w 1949 roku zawiesiła swoją

Jeszcze w prasie światowej nie przebrzmiały komentarze na temat finału SALT II i czerwcowego spotkania Breżniewa — Carter, a już uwaga agencji skierowała się na nową propozycję krajów socjalistycznych, „na nową ofertę pokojową” — jak napisał jeden z publicystów. Chodzi o inicjatywę zwolania jeszcze w tym roku, z udziałem wszystkich sygnatariuszy helsińskiego Aktu Końcowego, konferencji, której celem byłoby uzgodnienie praktycznych środków, osłabiających konfrontację militarną, zwiększających wzajemne zaufanie i dekoncentrujących siły zbrojne i zbrojenia w Europie. Konferencja taka, co więcej, prowadziłaby prostą drogą do przyszłorocznego spotkania w Madrycie. Zdaniem naszych krajów — powinno ono być szczególnie starannie przygotowane. Omawianą propozycję jak też i inne, zgłoszono na naradzie ministrów Spraw Zagranicznych państw członkowskich Układu Warszawskiego, która przez dwa dni toczyła się w Budapeszcie. Ubiegłoroczna deklaracja Doradczego Komitetu Politycznego państw — stron tego układu obfitowała w liczne, konkretne sugestie,

KRONIKA TYGODNIA

zmierzające przede wszystkim do zaprzestania wysiłku zbrojeń, a następnie wejścia na drogę rozbrojenia. Wszystkie one zachowują swą aktualność, a teraz zostały jak gdyby uzupełnione. Zgłosiliśmy gotowość porozumienia się z Zachodem w sprawie uprzedniej notyfikacji większych ruchów wojsk oraz dużych ćwiczeń, ograniczenia pulapu tych ostatnich, czy też objęcia „środkami zaufania” regionu Morza Śródziemnego. Sens tych kroków z punktu widzenia militarne jest oczywisty, w kategoriach politycznych i psychologicznych znaczą natomiast budowanie mostów zaufania, co dla procesu odprężenia militarne jest niezmiernie istotne. Tym bardziej że Komitet Planowania Obrony NATO, który obradował w Brukseli niemal w tym samym czasie, co ministrowie naszych państw w Budapeszcie, znowu zapowiedział wzmoczenie wysiłków na rzecz „umożliwienia wzrostu wydatków obronnych”. Praktycznie

oznacza to dalsze forsowanie wysiłku zbrojeń. Komunikat narady budapeszteńskiej ukazał się tuż przed rozpoczęciem XVII rundy rokowań wiedeńskich 19 państw. Przypomnijmy, że poprzednia runda nie wniosła oczekującego postępu. Teraz — po ogłoszeniu, że ZSSR i USA rychło podpiszą nowe porozumienie — o ograniczeniu zbrojeń strategicznych — więcej jest optymizmu. Sądzi się, że układ radziecko-amerykański doda bodźca rokowaniom na temat ograniczenia sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. Stanowisko krajów wspólnoty socjalistycznej, wyrażone w komunikacie budapeszteńskim, potwierdza naszą wolę znalezienia rozwiązań możliwych do przyjęcia przez wszystkich — bez szkody dla czegokolwiek bezpieczeństwa. Wspomnieliśmy powyżej o Morzu Śródziemnym. Warto więc uzmysłowić Czytelnikom, że jest ono obecnie dostojnie naszpikowane różnymi atlantyckimi wojskami, i że obecność na nim wykazuje także stale flota amerykańska. Wszystko to nie pozostaje bez wpływu na węganie krajów, leżących nad tym morzem, w wysiłku zbrojeń. Dlatego w Akcie Końcowym KBWE stwierdzono włączyć:

„Bezpieczeństwo w Europie należy rozpatrywać w szerszym kontekście bezpieczeństwa na świecie... Jest ono ściśle związane z bezpieczeństwem w rejonie Morza Śródziemnego w ogóle... Proces umacniania bezpieczeństwa, nie ograniczając się do Europy, powinien objąć inne rejon świata, zwłaszcza rejon Morza Śródziemnego”. Radziecka propozycja, przedłożona oficjalnie na belgradzkim spotkaniu uczestników Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, sugeruje także przedsięwzięcia, które by zapewniły umocnienie zaufania — np. informowanie się o manewrach. W Belgradzie zalecono badać możliwości i poszukiwać dróg ułożenia stosunków z krajami śródziemnomorskimi na zasadach Aktu Końcowego. Pełniej problem ma być dyskutowany w roku przyszłym — na kolejnym spotkaniu przedstawicieli państw europejskich. USA i Kanady w Madrycie. Dlatego właśnie omawiano go na naradzie ministrów Spraw Zagranicznych państw — członków Układu Warszawskiego. W sumie chodzi o to — napisał jeden z radzieckich komentatorów — aby ten rejon był nie południową flanką NATO, ale południową flanką procesu odprężenia.

W. SŁAWSKI

PROBLEM

Jednakże 15 maja br. zakończyły obrady Komitetu Planowania Nuklearnego NATO. Uczestnicy obrad postanowili, iż do końca br. zachodnioeuropejskie kraje członkowskie Paktu Północnoatlantyckiego powinny ustalić, „które spośród nich mają uczestniczyć w modernizacji i wzmocnieniu arsenału nuklearnego NATO na kontynencie europejskim”. Innymi słowy, chodzi po prostu o to, które z nich zakupią nowe amerykańskie rakiety średnio-dalekiego zasięgu „Pershing II” i pociski samosterujące „Cruise” oraz na czym terytorium mają one być rozmieszczone. Konieczność rozbudowy arsenału nuklearnego broni masowej zagłady w Zachodniej Europie uzasadniono, jak zwykle zresztą, „narastaniem zagrożenia ze Wschodu”. Uczestnicy obrad Komitetu Planowania Nuklearnego NATO wyrazili opinię, iż między rozbudową nuklearnego potencjału w Europie a propozycją krajów socjalistycznych w sprawie negocjacji rozbrojeniowych nie ma sprzeczności... Zgubne oddziaływanie NATO na europejski i międzynarodowy klimat polityczny jest wielorakie i, niestety, długotrwałe. Ujawniało się ono stopniowo i z narastającą siłą. Już pierwsze lata działalności tego bloku militarne, jeśli spojrzeć na nie z „historycznego punktu widzenia”, były wyjątkowo znamienne. Wspominając je, kraje Zachodniej Europy powinny głębiej ubolewać z powodu zwrotu w stosunkach międzynarodowych, który nastąpił w następstwie utworzenia NATO w 1949 roku. I jeśliby ta „atlantycka przezorność” była jedyną normą politycznego postępowania w Europie, to miniony okres można by nazwać trzydziestoma latami zmarowinańskich możliwości pokojowego rozwoju stosunków międzynarodowych. Na szczęście nie była to jedyna norma i Europa zaczęła wychodzić ze stadium „zimnej wojny”. Ale przecież nie dzięki, lecz wbrew działaniu NATO. Należy o tym pa-

plikacje”. Na ten sam temat, ale w nieco innym kontekście wypowiedział się również inny brytyjski marszałek, sir Bernard Law Montgomery. Zaraz po zakończeniu działań wojennych w Europie otrzymał on od ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii, W. Churchilla, tajne zalecenie o gromadzeniu niemieckiej broni i grupowaniu zdolnych jeszcze do walki oddziałów niemieckich na wypadek ewentualnych działań przeciwko Związkowi Radzieckiemu. W swoim pamiętniku Montgomery napisał: „Wydałem rozkaz, żeby zaprzestać niszczenia niemieckiej broni i zaopatrzenia, ponieważ mogły się one przydać zachodnim sojusznikom”. Jak wiadomo, dyrektywa ta nie pozostała na papierze i doczekała się chwili, kiedy Rada Kontrolna w Niemczech była zmuszona rozpatrzyć sprawę o „nielegalnym grupowaniu niemieckich formacji wojskowych w brytyjskiej strefie okupacyjnej”. Same za siebie mówią podane niedawno do wiadomości publicznej dokumenty gabinetu brytyjskiego z 1948 roku, zawierające „praktyczne” propozycje Churchilla w sprawie rozpoczęcia wojny atomowej przeciwko Związkowi Radzieckiemu, a przede wszystkim w wypadku, jeśli Związek Radziecki nie podporządkuje się ultimatywnym żądaniom Zachodu wycofania się z Berlina i wschodniej części Niemiec. Ale pisał L. Bezymienski, amerykański polityk i generałowie posunęli się jeszcze dalej. Jak wynika z książki znanego specjalisty z dziedziny „tajnej wojny”, A. K. Browna, która w ub. roku ukazała się w Nowym Jorku, pierwszy plan agresji na Związek Radziecki był przewidziany na koniec 1945 roku. Jeden z jego wariantów przewidywał atomowe bombardowania 20 miast Związku Radzieckiego. W następnym planie, jak pisał Brown, zamiar sprecyzowano: mówiono już o 113 uderzeniach atomowych na 17 wielkich ośrodków, a w tym

działalność. Jedną z głównych przyczyn przerwania pracy tego organu było dążenie NATO do odrodzenia sił zbrojnych w Zachodnich Niemczech jako „europejskiego jądra” NATO. Cel ten był wyraźnie sprzeczny z programem opracowanym w Poczdamie i nie dopuszczającym do odrodzenia niemieckiego potencjału wojskowego. Blok północnoatlantycki realizował swe zamierzenia; USA, Anglia i Francja zdecydowały się nie tylko na zerwanie porozumienia w Poczdamie, lecz także na rozbięcie Niemiec. Nie ha darmo jeden z zachodnich polityków powiedział: „Lepiej w całości rządzić połową Niemiec, niż na polu rządzić całymi Niemcami”. W latach 1949-55 Związek Radziecki niezliczoną ilość razy proponował mocarstwom zachodnim rewizję polityki „zimnej wojny” i odrzucenie idei rozbięcia Europy w interesie NATO. Nie wstuchano jednak głosu rozsądku. W polityce militarystycznych kół zachodnich, których interesy uosabia NATO, widać tendencję do zahamowania pozytywnych procesów międzynarodowego odprężenia, rozdmuchiwania wrogości do krajów socjalistycznych, rozkręcania spirali nowych zbrojeń. Z ich błogosławieństw planuje się rozmieszczenie nowych rodzajów broni nuklearnej w Zachodniej Europie, opracowanie nowe systemy broni masowej zagłady. Prowadzi to do sytuacji, w której wysiłek zbrojeń może się wyśliznąć spod kontroli politycznej. Ton tej złowroźnej działalności, niebezpiecznej dla całej ludzkości, nadała organizacja Paktu Północnoatlantyckiego. Nie ma teraz zadania bardziej ważnego, niż zahamowanie wysiłku zbrojeń. Szybki rozwój broni rakietowo-jądrowych wysuwa problem pokoju lub wojny na czoło najważniejszych problemów naszych dni.

JERZY CZECH

WSPÓŁCZESNOŚCI

Jeden z najwybitniejszych pisarzy latynoamerykańskich, twórca słynnych powieści „Zła godzina” i „Sto lat samotności”, Kolumbijczyk Gabriel Garcia Marquez od kilku lat nie opuścił nowego utworu, zajmując się wyłącznie publicystyką. Czyżby zaledwie 50-letniego pisarza opuściło natchnienie — dziwi się prasa zachodnia, jakby nie zauważając parokrotnych jego wypowiedzi w tej sprawie. Obecnie Marquez kończy swój wielki reportaż o Kubie — a także, co jest pewną niespodzianką — przystąpił do realizacji filmu. O sprawach tych Marquez mówi w wywiadzie dla „Literaturnej Gazety”.

— Już nieraz oświadczałem, że nie opublikuję ani jednego opowiadania, dopóki w Chile panować będzie reżim Pinoche. Wprawdzie pochodzę z Kolumbii, ale wszystko to, co dzieje się w Ameryce Łacińskiej budzi moją najwyższą troskę. Gdy tylko sytuacja w Chile zmieni się, oddam do druku duży tom opowiadań. Obecnie zajmuję się publicystyką, bo wymaga tego chwila. Jednocześnie kończę obszerny cykl reportaży o socjalistycznej, wolnej Kubie, gdzie przebywałem przez dłuższy czas. Cieszy mnie, że w Związku Radzieckim, który zamierzam odwiedzić, ukazały się moje książki „Jesień patriarchy” oraz „Niezapomniany dzień w życiu Baltazara”. Ponadto wiadomo mi, że wydawnictwo „Progress” przygotowuje do druku tom moich opowiadań, a wśród nich „Wdowę Montela”. Otóż z tym właśnie utworem łączy się mo-

cyjemy nad ekranizacją „Wdowy Montel”. Miałem szczęście, bo — po pierwsze Littin to wspaniały twórca filmowy, a po drugie — środki finansowe uzyskaliśmy dzięki pomocy przyjaciół i grona postępowych działaczy. Tak więc jesteśmy całkowicie niezależni i możemy swobodnie pracować. Treść filmu jest prosta. Mówi on o ostatnich latach życia wdowy po Jose Montela. Otóż z tym właśnie utworem łączy się mo-

W SZUFLADZIE MARQUEZA

ja wielka przygoda filmowa. Muszę tu wyznać, że dotychczas mój stosunek do filmu przypominał niedobre małżeństwo — nie mogliśmy ani żyć razem, ani oddzielić. Krótko mówiąc, zawsze marzyłem o nakręceniu filmu, ale nigdy nie mogłem zrobić go tak, jakby chciałem. Dopiero teraz wraz z Miguelem Littinem pra-

Z PRASY

Konsorcjum obejmujące wszystkie kraje, które zajmują wiodącą pozycję w badaniach „kontrolowanej syntezy termojądrowej”, opracowuje plany skonstruowania eksperymentalnego energetycznego urządzenia, w którym ma być „zapalony” samostoiny i kontrolowany termojądrowy płomień, podobny do tego, jaki płonie w centrum Słońca. W odróżnieniu od budowanych obecnie urządzeń, w nowym projekcie przewiduje się produkcję elektryczności w drodze wykorzystania reakcji termojądrowej. Jeśli będzie wynaleziony bezpieczny i ekonomicznie celowy sposób podobnej produkcji energii, to tym samym wiele lat wcześniej zostanie rozstrzygnięty światowy problem energetyczny, ponieważ główne paliwo dla tego termojądrowego urządzenia wydobędzie się z wody morskiej. Na tym polega znaczna przewaga termojądrowej syntezy nad dostępnym obecnie procesem otrzymywania energii atomowej drogą jądrowego podziału. Wydatki na realizację tego międzynarodowego „termojądrowego projektu”, które wyniosą około kilkuset milionów dolarów, zostaną rozłożone na czterech uczestników tego przedsięwzięcia: na Euroatom (zjednoczenie szeregu krajów Zachodniej Europy w zakresie przemysłu atomowego — red.), Japonię, Związek Radziecki i Stany Zjednoczone. Konstruowanie tego urządzenia rozpocznie się w początkach lat osiemdziesiątych, a jego uruchomienie nastąpi w końcu lat osiemdziesiątych lub początku dziewięćdziesiątych. Każdy z czterech uczestników tego projektu samodzielnie buduje teraz, lub przygotowuje się do budowy dużego i kosztownego termojądrowego urządzenia typu „Tokomak”. Nazwy „Tokomak”, pochodzącej od połączenia pierwszych

sylab rosjskich słów (oznaczających podstawowe elementy urządzenia: tok, kamera, magnitronyje katuzski — red.), używa się dlatego, że takie urządzenia skonstruowano po raz pierwszy w Związku Radzieckim.

Celem tych prac jest stworzenie warunków dostatecznie zbliżonych do tych, jakie istnieją w centrum słońca i są niezbędne do połączenia się deuteru i trytu (dwie ciężkie odmiany wodoru, które zawiera plazma — red.), z jednoczesnym tworzeniem się helu. W wyniku tego procesu powinna się wydzielić ogromna ilość energii. Podobne warunki otrzymuje się w bombie wodorowej drogą wybuchu jądrowego.

„New York Times” — Nowy Jork

Ogólnie rzecz biorąc, chłód znosi się łatwiej, niż wielkie gorąco, które może dostarczać szczególnie dużo nieprzyjemnych odczuć ludzkości z chwiejnym systemem krążenia krwi. Niemniej zimą rośnie liczba chorób uzależnionych od warunków pogody. W wyniku tego procesu powinna się wydzielić ogromna ilość energii. Podobne warunki otrzymuje się w bombie wodorowej drogą wybuchu jądrowego.

„Weltwoche” — Zurich

HENRYK CZARNECKI

Monika



Par takich było wówczas wiele. Kojarzano je na poczekaniu. Na krótko. Ulatwiały konspiracyjne działania. I nie upodobania odgrywały tu rolę, a uśmiechy i gesty były tylko na pokaz. Dla Niemców. Wystarczyło objąć się czule i bezpiecznie wejść już było można w lesne gęstwiny.

- A więc o dwudziestej czwartej. Punktualnie. - Tak jest, poruczniku. Spojrzeliśmy wszyscy na zegarki. - Która? - Siedemnasta dwanaście. - Zgadza się. - Znow stał się kolega. Idźcie i kochajcie się - powiedział ze śmiechem, wyciągając do nas dłoń. I poszliśmy. L... dwadzieścia już prawie minęło lat od tego „I”, nad którym zabrakło kropki. Chocę powiedzieć ci dziś, Moniko, że już po kilkunastu godzinach zreperowano uszkodzoną przez nas linie wysokiego napięcia i w ogólnym rachunku nie miało to chyba większego wpływu na losy wojny.

Mówię to jednak dopiero dziś. I mówię to z pozycji „na baczność”, z pochyloną przed twoim cieniem głową, gdy spletał ci teraz z młodzieńczych źdźbeł trawy taki skromny krzyż wirtuści. Przed wojną byłaś o klasę wyżej ode mnie i to chyba miało decydujący wpływ, że nie dostrzegaliśmy się wtedy. Dlatego nawet nie wiedziałem czy jesteś ładna, jakiego koloru są twoje oczy.

Gdybym, wchodząc wtedy z tobą w noc pełną zbrodni, wiedział, że za kilka godzin będziesz musiała umrzeć, może nie słuchałbym śpiewających kłosew, które z uśmiechem powiewały mi, że ta brakująca klasa nie ma nic do rzeczy. I nagle, złamany na miedzy mak czerwony start uśmiech z mojej twarzy. Zwisł przez ramie umarła głowa.

- Nie boisz się śmierci? - pytałem, gdy już wiadome było kim jesteś dla mnie. - To śmierć jest nas boli. Zbyt wiele w naszym życiu i entuzjazmu. Umierają tylko chorzy na rezygnację.

Przekonałaś mnie, bo i ja nigdy nie wierzyłem w śmierć. Cóż mogła nam zrobić ta prymitywna, znana z dziecięcych strachów kostucha z kosa.

I ciebie, nie ja, dojrzałem wówczas na miedzy.

I ty zobaczyłaś mnie. - Dlaczego dopiero teraz, Moniko? - zapytałem. - Dlaczego nie umieliśmy zobaczyć się wcześniej?

- Mamy tyle jeszcze przed sobą. - Tak. Wolną godzinę na pewno.

Usiedliśmy na miedzy. Do północy brakowała tylko ta jedna godzina, którą trzeba było jakoś przeżyć. Wypełniliśmy ją sobą. Po brzegi. Wszystkie problemy odeszły od nas daleko i tylko gwiazdy błyszczały, i tylko noc grała na wszystkich swoich instrumentach.

I wtedy, gdy noc grała na kłosach, noc grała na gwiazdach - stokrotkach, wywołiliśmy z tego miliona dźwięków poszczególne melodie z jakże prostymi, a jednocześnie kolorowymi rozwiązaniem. Oto wszystkie wieczory już razem. Oto słoneczne niedziele wzdłuż porostej wysokimi trawami rzeki. Oto wspólne słuchanie deszczu. Oczekiwanie. Liczenie cyfr na zegarku.

inną prawdę o chłopaku, niewidzącym do granic wszelkiej samokontroli - własnego ojca i cały dom, który chciał wiedzieć w Zygmuncie wielkiego artystę, ale niewiele okazał mu ciepła, i nie pozwolił nigdy być samodzielny, chroniąc tak usilnie przed zmem, że jakiegokolwiek dobro nie zdążyło się do niego dopchać.

Chociaż miałem więc prawie skryzalizowany pogląd na sprawę, nie interweniowałem nigdy, może przez lenistwo a może dlatego, że nie dotychczas mi nie bezpośrednio, jeżeli w ogóle można w ten sposób traktować rzeczy takie, jak czyjeś nieszczęście, czy ludzki niezawiniony i niezamierzony dramat. Przyznam na swoje sprawnie widzieliśmy, że irytowałem się niejednokrotnie, kiedy w rozmowach o Zygmuncie wyczuwałem, że staje się on rzeczą wściekłą sprawą a nie osobą i to sprawą kłopotliwą. Po prostu nie było już Zygmunta Zawodzińskiego, tylko pozostawał wstydlivy problem Zygmunta.

Rozmawiałem teraz o tym dopijając drugą herbatę, aby uniknąć poalkoholowej opatki, gdy zapukano do drzwi. Przyszła stara Zawodzińska. Był

Oto i cel: istnienie dla kogoś. Prędko ukończył się przecież szkole, uniwersytet. Będzie dla nas wielkie miasto, jego żywiołowy gwar, oglądanie we dwoje wiatru przez szyby ciepłego mieszkania.

A potem przyszła ta najdłuższa melodia; jak dobiec do wysokich trzcini, które łączą się z jarem i wolnością.

Odległy... jakby obojętny strzał gdzieś daleko... I nie już potem nie gado. Gwiazdy - stokrotki straciły lesny zapach.

Przez chwilę byłem nawet zły na ciebie, że się potknęłaś. Na szczęście nie usłyszałaś już pewnie mojego gniewnego „przejdź!” Na szczęście, bo przykro by mi było, że odchodząc zabierasz z sobą nieznaną ci ton.

I zostawiłem cię w wilgotnych trzcinach i martwiłem się, że noc nad wodą jest chłodna i nie umiałem zrozumieć, że ty nigdy się już przecież nie przeżyjesz.

Dwa kruki w mundurach odeszły w noc. Zlekły się partyzanckich śladów... W kartofliskach wygrzebałem rękami dół. Poprawiłem ci koltierzyk u bluzeczki, pamiętasz? Narzęcze zielonych, kartoflanych liści położyłem jak kwiaty na ciebie. Utonęłaś w zieleni, Moniko.

Z twoją śmiercią umarło jeszcze wiele lirycznych rzeczy: umarli pobrękujący szabalka romantyzm. Umarły stare, szkolne opowiadania na wojenne tematy. Umarły stare, bohaterские piosenki śpiewane kiedyś przy harcierskim ognisku, bo nie bezimienny żołnierz mi zginął, ale ty, Moniko. Czy ta uszkodzona przez nas linia warta była twój śmierci?

Jak myślisz, co ja teraz robię w kwietniowy wieczór? W deszczu?

Jutro pewnie rozsuna się chmury... Tak. Jest wielkie miasto, o którym marzyłaś i mieszkam. I stara, znana nam węgierska rapsodia Liszta. Nie rozumieliśmy tylko wtedy, że jest to melodia o: radość, ból, umiowanie... Nie wyjdiesz, bo ktoś nam kiedyś powiedział, że ważniejsza jest ta linia wysokiego napięcia, którą trzeba zniszczyć.

Nie pojedę teraz do ciebie szukać cię w zieleni pół. Nie wiem nawet czy w życie szumny jasnymi włosami, czy miedza zielonym paskiem opasuje niesformną bluzeczkę, czy rośnie tam czerwony, ze złamaną główką mak. Ze zwiastoną przez ramie głowa.

Nie pojedę do ciebie, bo życie wraz z mną pobiegło naprzód. Ze zburzonego wtedy mrowiska sypanego pospiesznie w pachnącą gwiazdami noc powstało nowe, obce ci chyba. Więć tylko czasami wywołam cię melodia rapsodii, w wierszu położę wygodnie z rymem pod głową, imię twoje podaruję jakiejś dziewczynie z opowiadania.

Jutro spotkam setki młodych dziewcząt śpiewających na randki, do kawiarni, na uniwersytet. Nie znają cię one. Niepotrzebna im już jesteś.

Nie pozwolę tylko już nigdy, nie przyjmę bojowego zadania, aby którakolwiek z nich zapadła się wśród pół kartoflanych. Niech twój śmierć będzie już ostatnia.

Powiem córce mojej, by nigdy nie szukała twoich śladów. Byś nigdy ty, Moniko, nie była dla niej wzorem.

I boję się. Boję się moją poiską, kurhanową naturą, że pewnie jednak... nie dotrzymam słowa.

ko zapadał. Ilekroć dochodził do jakiejś przesieki lub lesnego duktu, zawracał z powrotem w las. Szedł coraz wolniej, coraz częściej przystawał. Byłem już bardzo zmęczony, gdy znalazłem go niedaleko starej gąłki. Na szyi miał pasek zaciśnięty w pętle, głowę opuszczoną nisko. Kilkadziesiąt centymetrów wyżej z pnia, o który oparł się plecami, wybiegła pozycja gałąź. Stałałem obok. „Żyje” - pomyślałem.

- To pan, panie Wiktorze - bardziej stwierdził, niż zapytał. - Idziemy, Zygmun - wzięłem go lekko za ramiona i zdmuchłem mu pasek z szyi. W domu czekają na ciebie z kolacją. Zapalasz?

- Głupio mi. Pan przecież wie, że nie jestem wariatem. Że udało mi się wrócić w to normalne życie, ale ciągle rosną wyskoczy takiego, co mnie nad zad kładzie. Choćby wczoraj ten stary z diagramem.

- Z jakim diagramem? - zaciękawilem się. - Siedział pół nocy. Jak mi się chciało. Zresztą to nie pierwszy jego numer. Wymalował diagram. Dokładny, matematyczny i w kolorach. Ciepłe koła przedstawiała moja inteligencja, a poszczególne kolory to, co w kolejnych latach utracię. Biel przedstawiała to resztkę pozostałego mi rozumu. Ojciec przyniósł diagram do śniadania i rozpoczął wykład. Tłumaczył mi, co sygnalizują kolory, prosił, abym wszystko dobrze zapamiętał, zrozumiał i sprawił, aby koło stało się znowu białe. Pan by nie zwariował? Kto tu jest chorey?

- Zrozum go, Zygmun - powiedziałem. - Różne są zwyczajwa ludzi i różnie się można do nich odnosić.

- Pójdź już i dziękuję panu - wydawał się być przekonany, że moim wcale nie odkrywczym sądem.

- Odprowadź cię. Popiełem dzisiaj i spacer dobrze mi zrobi.

Nad rzeką ulepiłem śniegowa kule i machałem w stronę maczającego słuca. Rozległo się miłe ciapanie. Zygmun zamachał się także i znowu wyrażny stuk.

- Nie czujesz Zygmun, że ten śnieg jest coś więcej wart niż jakiś zwariowany diagram? - zapytałem.

- Chyba tak - odpowiedział i podał mi rękę na pożegnanie.

ne butami ślady. Staliśmy nad tymi śladami i staliśmy. Same niewiadome. Na dole, za drwinią obelkowaniem przewalała się bura, wzbiana woda. Na dole dwa ślady butów ru-dawo-śnieg i rozjeżdżona maź na jezdnii. Nie wiedziałem absolutnie co robić patrzeć na roz-trzęsionego staruszka. Dopiero po kilku minutach pomyślałem tak naprawdę o Zygmuncie i jawiła mi się przed oczami jego sylwetka spotykana często w lesie, gdy stał zapatrzony w mrowisko lub w korę dębu.

- Poszukam w lesie - powiedziałem zostawiając młodego ojca.

- Gdzie pan idzie kolego. Pan dzisiaj pił, ale niech mi pan pomoże - mruczał nie-pewnie.

Las zaczął się kilkaset metrów za mostem. Na samym brzegu wejście do niego było trudne, bo ciągnął się jeszcze nasyp i głęboki rów. „Jestli on był blisko pogardy do świata - myślałem - lub jeśli dopadła go ta apatyczna zapasé, to na pewno nie chciałoby mu się wysilać na pokonywanie rowu. Mniejszą przeszkodą była poręcz na moście”.

Miałem rację. Znalazłem te

ZBIGNIEW ADAMSKI DIAGRAM

ślady. Zygmun wszedł w las, gdy tylko skończył się rów. Dalej jednak pojawiło się więcej śladów. Przecinały się na ścieżce prowadzącej w stronę stawów i bagnisk. Wróciłem z powrotem, zjąłem szalik i zmierzylem tamte wspinając w zimiane oczka dwie zapelki. Porównywałem teraz wszystkie ślady schodzące ze ścieżki w las. Odnalazłem je znowu. Powoli zaczęło zmierzchać. W wóbr-rażni jak na ekranie przesuwali mi się kolejne obrazy wędrówki Zygmunta. Wystarczyły ślady. Powłóczył nogami. Na śniegu było wszystko wyraźne, nawet cel błakawiny chłopca. Przed każdym złamanym drzewem, pochyloną galeją stał długi. Patrzyłem ponad śniegiem i bałem się zobaczyć go wiszącego. Kluczyłem za tropem. On miał na tej drodze prawie cały dzień, ja zaś w czasie do zmierzchu, który szyb-

blady i podniecony. - Panie kolego - powiedział. - Nie widział pan tu gdzieś nad rzeką syna? - Nie. A co się stało? - zapytałem. - Nic. Tylko mógł skoczyć z mostu.

- Co pan wygaduje? Skoczyć z mostu? Dlaczego? Po co? - pytałem szybko i chyba nie-logicznie.

- Wyszli z domu rano - wyjaśniał spokojnie Zawodziński - i powiedział, że ze sobą skoczący. Widziano go na moście. Podobno długo stał, są nawet ślady. Tylko, czy skoczył? Trzeba go szukać.

Zarzucałem kurtkę, buty i popędzając staruszka pobiegliśmy w stronę mostu. W głębokim jeszcze śniegu - na drwiniach chodnikach mało uczęsz-czanego mostu doskonale się trzyma całą zimę - widniały dwa wyraźne, prawie wytopio-

Piękno muzyki i wielka siła jej dramatycznego wyrazu wy-nikająca z głębokiej prawdy uczuć bohaterów, to najważ-niejsze i najczęściej podkreśla-ne walory oper Giuseppe Ver-diego. O rzeczywistym istnieniu tych walorów i ich niesiabu-nej żywotności mieliśmy okazję raz jeszcze przekonać się pod-czas kolejnej premiery w Tea-trze Wielkim, który zaprezen-tował nam tym razem „Don Car-losa”.

Dość niezwykle i burzliwe były dzieje tej opery i jej eu-ropejskiej recepcji. Znakomity twórca skomponował ją na zamówienie paryskiej Grand Ope-ry w stylu tzw. wielkiej opery, której scena ta dawała szcze-gólny prymat. Mimo iż francuska premiera „Don Carlosa” (11 marca 1867) nie wzbudziła entuzjazmu arystokratycznej publiczności (spektakl odbył się w obecności Napoleona III i jego małżonki cesarowej Eugonii) oraz przedstawicieli rządu i korpusu dyplomatycznego, to jednak oczywiste wartości dzieła, aczkolwiek osłabione kłop-skim tego wieczoru - jak pi-sze kroniki - wykonaniem, nie umknęły uwadze wnikliwych krytyków. Recenzent „France” napisał m.in.: „Oczekiwano się, że Verdi dałbyś okazywać współczesnego stylu, a on tymczasem stworzył arcydzieło, w którym przejawiają się dążno-sci do wybiegnięcia w „przy-szość”. Zarzucano jednak tej operze wpływ Wagnera i Meyerbeera. Uważano, że dzieło Verdiego pozwala na obalenie tego zarzutu. Wielki kom-pozytor stworzył własny, cha-rakteryistyczny styl operowy, w którym śpiew ma pierwszeń-stwo absolutne i już choćby z tego powodu porównanie z Wagnerem, dążącym do syntety-zacji wszystkich sztuk w swoich dra-matach muzycznych, wydaje się niesłuszne.

Atrakcyjność dzieł Verdiego wzięła w parze ze znacznym stopniem ich trudności. Wyma-gając wiele od samego siebie,

kim zgodnie z funkcją drama-turgingia.

Warto odnotować dobrą for-mę wokalną i coraz lepsze opa-nowanie warsztatu aktorskiego wykonawców czolowych rol „Don Carlosa”. Podobał się Ta-deusz Kopacki, który wykona-niem tytułowej partii utwier-dził słuchaczy w przekonaniu o swej ogromnej kulturze wokalnej i swobodzie aktorskiej. Śpiewał ten zdaje się przeży-wać renesans swej świeżej nigdyś formy, co odnotowu-jemy z niemałą satysfakcją i nadzieją na następne kreacje. Obryzynie i zasłużone „brawa zebrał” Zdzisław Krzywicki (Król, Filip). Jeden z najbar-dziej znanych, ale i najtuden-niejszy z fragmentów „Don Carlosa” - wielki monolog króla, był w wykonaniu tego artysty prawdziwą uczą dla melomanów. Partię królowej Elżbiety pięknie aż do wzru-szenia śpiewała - niezawod-na Teresa May-Czyżowska. Nie-zwykle skromnymi, ale jakieś sugestywnymi środkami sceni-cznego wyrazu stworzyła też interesującą i bogatą kreację aktorską (świetna w scenie, gdy zmuszona przez męża i panu-jące na hiszpańskim dworze zwyczaje - uczestniczy w po-nurym obrzędzie auto da fe).

Władysław Malczewski w roli markiza Posy znowu zachwył nas swym znakomicie prowa-dzonym głosem i pełnym eki-presji aktorstwem. Myślę teraz, że niebawem da wymienionych tu śpiewaków zbraknie nam słów uznania, ale obymy tylko takie mieli kłopoty recenzując spektakle i ich udziałem. W partii księżny Eboli po raz pierwszy usłyszeliśmy Ryszardę Raciewicz. Tej obdarzonej bar-dzo mocnym, czystym i nosnym głosem śpiewaczce wróż wielkie sukcesy. W jej wiel-kim materiale głosowym czuje się jednak brak dostatecznego szlif, którego nie da się za-stąpić samą tylko ekspresją wy-konania. Także zbyt ekspresyj-ne w przypadku Ryszardy Ra-

cewicz aktorstwo (niepotrzebnie „wzmocnione” przesadną ena-kratyzacją), pociągnęło kre-o-waną przez śpiewaczkę partię w złym kierunku ostrej gro-teski.

W niewielkiej, acz trudnej partii Wielkiego Inkwizytora z przyłmnością słuchaliśmy Włodzimierza Zaleskiego. Dobrze zaprezentował się w tym spek-taklu chórz, z którego przygo-towanie pochwałić wypada Mieczysława Rymarczyka. Kie-rownictwo muzyczne przedsta-wienia sprawował Mieczysław Nowakowski, który ze zmienne, niestety, pewnością poprowa-dził premię.

Mniej niż zwykle, tu już pora przejść do minusów, podobać się mogła orkiestra. Jej brzmio-niu brakowało moim zdaniem i to w kilku, aż miejscach i blasku i siły, a potknięcia in-tonacyjne nazbyt często dawa-ły znać o nie najlepszej tego wieczoru dyspozycji świetnego w innych spektaklach zespołu wybitnych przecież muzyków. Wziliśmy to jednak na karb pre-mierowej tremy, zbyt zostało bowiem orkiestra ta dawała (zwiększa pod batutą Bohdana Wodiczki) przykłady swego mi-strzostwa, byśmy tak łatwo poddali się zdziwieniu o jej słabości, gdy ta wydaje się (i oby tak było) tylko chwilowa.

Mamy w Łódzkiej Teatrze Wielkim artystów naprawdę znakomitych. Premierowa tre-ma z całą pewnością minęła po skończonym spektaklu, a w re-pertuarze naszej operowej sceny zostało przedstawienie godne uwagi i uznania dla staranno-ści, z jaką komponują się wszystkie jego elementy. Po-liczam je więc melomanom i miłośnikom teatru gwarantu-jąc, że spędzą na nim udany i ciekawy, pełen wrażeń i prze-żyć wieczór.

EWA PANKIEWICZ

„Don Carlos”

niedokrotnie zmieniając i poprawiając zamknięte już - zdawaloby się - kompozycje, równie wysokie wymagania postawił twórca wykonawcom i inscenizatorom.

Łódzcy melomani widzieli już na swojej scenie inscenizacje „Aidy”, „Rigoletta”, „Traviaty” i „Otella”. Teatr Wielki sprostał tym próbom ze znaczym (poza źle wystawioną, choć w tytułowej partii dobrze śpie-waną „Traviatą”) powodzeniem. „Don Carlos” jest kolejną i - jak się wydaje - chyba naj-wyżej postawioną „poprzedką”. Powiedźmy jednak od razu, że realizatorzy i wykonawcy pokonał ją (w premierowym przedstawieniu) na ogół bez większych kłopotów. Piszę „na ogół”, bo i potknięcia zdarzyły się także i nie sposób pominąć ich milczeniem. Zaczniemy jed-nak od pozytywów.

Ciekawą koncepcję insceniza-cyjną zaproponował Łódzki Szros - reżyser, a zarazem scenograf przedstawienia. In-te-rujące prowadzenie poszcze-gólnych ról, czysta kompozycja scen zbiorowych i efektywna dekoracja, to największe plusy tej inscenizacji. Mniej przy-pady mi do gustu kostiumy, pełne przedziwnych ornamentów mających mocniej jeszcze podkreślić fakt, iż akcja roz-grywa się w arcykatolickiej Hiszpanii za czasów Wielkiej Inkwizycji, z pozorów bogate, a w istocie dziwnie ubogie, jeśli porównać je z zachowaną z epoki ikonografia świetne przecież dokumentująca ten „złoty” okres panowania króla Filipa II.

Swojej koncepcji insceniza-cyjnej reżyser podporządkował wszystko i wypadła pochwałić te konsekwencje, obojętności bowiem dzięki niej spektakl niezwykle spójny. Każdy z wy-konawców znalazł w tym przed-stawieniu swoje właściwe miejsce, a sposób prezentacji i prowadzenia poszczególnych ról przez reżysera eksponował je równomiernie, a przede wszyst-

Książka, którą pragnąłbym zająć dziś uwagę Czytelników, jest z pewnością jedną z najcenniejszych publikacji, w jakie obrodziła obchodzona uroczystość w całym kraju rocznica sześćdziesięciolecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Dzieło wybitnego historyka, uczonego — jak sam powiada on o sobie — „starszej generacji, który żył pośród opisywanych wy-

ODBUDOWA PAŃSTWA

darzeń”, przynosi panoramiczne spojrzenie na sprawę polską podczas I wojny światowej. Autora przedstawiać nie trzeba: jest nim znakomity uczonego polski Janusz Pajewski, dobrze nam znany ze swych poprzednich książek, z których większość dotyczyła naszych polskich losów pod koniec XIX i w początkach XX stulecia. Mamy tu na myśli przede wszystkim ważną dla naszej historii książkę J. Pajewskiego o „Mitteleuropa”, będącą studium z dziejów imperializmu niemieckiego w dobie I wojny światowej, a w szczególności kapitalną monografię „Wokół sprawy polskiej. Paryż — Lozanna — Londyn 1914—1918”, ogłoszoną przed kilkoma laty w tak minimalnym nakładzie, że nie mogła ona odegrać tej roli, jaką z pewnością spełniaby, gdyby była bardziej dostępna. Nowo wydana książka J. Pajewskiego, opatrzona tytułem: „Odbudowa Państwa Polskiego 1914—1918” (Warszawa 1978), przynosi podsumowanie wieloletnich badań historyka nad warunkami i okolicznościami odzyskania przez Polskę niepodległości.

Jest J. Pajewski badaczem, który dąży do zgłębienia interesujących go, wielkich problemów historycznych, nie tylko na drodze reinterpretacji zastanych poglądów i ocen, ale przede wszystkim starając się o poszerzenie informacyjnej podstawy swych rozważań. Również i tym razem jego książka została oparta o bardzo wszechstronną podstawę źródłową: oprócz źródeł ogłoszonych drukiem oraz archiwaliów krajowych historyk wykorzystał francuskie Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz archiwa niemieckie i austriackie. Godzi się to zauważyć tym bardziej, że ostatnio rozpowszechniła się u nas praktyka — nie tylko co się tyczy badań nad dziejami I wojny światowej — niemal zupełnego nieuwzględniania, jakichkolwiek obcych zbiorów archiwalnych, które kryją przecież — wiadomo o tym nie od dziś — nieprzebrany materiał do spraw polskich. Praktyka ta dziwi tym bardziej, że dostęp do przynajmniej niektórych spośród ważnych obcych archiwów wcale nie jest dla nas tak trudny, jak się niekiedy myśli: do Poczdamu można wszak pojechać za złotówką.

J. Pajewskiemu nie chodzi jednak tylko o poszerzenie zrebu wprowadzonych do naukowego obiegu faktów. Służą mu one — zarówno te, które wydobyl ze źródeł krajowych, jak i uzy-

skane ze źródeł zagranicznych — do poszukiwania nowej interpretacji rozpatrywanych procesów i zjawisk. Dlatego też w rozważaniach uczonego poczesne miejsce zajmuje refleksja nad dotychczasowymi poglądami, wypowiedzianymi na obszarze piśmiennictwa historycznego oraz poza nim. Również i omawiana książka rozpoczyna się od zwiezłego, syntetycznego zarysu „rozwoju badań nad odbudową państwowości polskiej”, w którym autor przedstawił czytelnikom celny, syntetyczny rzut oka na polaryzację i ewolucję ocen, jakie formułowane dawniej i współcześnie. Było to konieczne dla dokładnego oznaczenia obszaru autorskiej refleksji: boć przecież i J. Pajewskiemu chodzi nie o co innego, jak o wyważoną, zobjektywizowaną, wszechstronnie uargumentowaną ocenę wydarzeń, prezentowanych w książce.

Dzieło swe poświęcił uczonego — jak czytamy w dedykacji — „tym, co w mrokach niewoli, w najcięższych dla narodu chwilach, nigdy o Polsce nie zwątpili”. Jak gdyby nawiązując do tej tradycji naszej historiografii, której jakże znamienitym reprezentantem był niegdyś autor „Napoleona a Polska”, już u początku swoich rozważań J. Pajewski podkreśla z mocą, że „zasadniczą przyczyną odzyskania niepodległości była postawa narodu polskiego, była jego wola przetrwania katastrofy niewoli, była jego wola odzyskania niepodległości. Chwile dziejowej, w której wyzwolenie się dokonało, wyznaczyła sytuacja międzynarodowa”. Ta właśnie postawa, rozwinięta w najtrudniejszych latach niewoli, stała się obiektywną przesłanką, bez której nie byłoby możliwe wykorzystanie przez Polaków tych wszystkich historycznych szans, jakie zaistniały podczas I wojny światowej, zarówno w związku ze zmienną konfiguracją na arenie międzynarodowej, jak i wielkimi procesami społecznymi, które wycisnęły na tej epoce, jakże wyraziste piętno. W wyniku dokonanych przemian — powiada J. Pajewski na zakończenie swej książki — „stały się naprzeciwko siebie już nie dwa obozy, lecz dwa światy — świat kapitalistyczny i świat socjalistyczny, które w ówczesnych warunkach musiały dzielić „wzajemną głęboką nieufność”. Polska odrodziła się „na przejściu, na styku obu światów”, znalazła się — jak pisze historyk — „i w dosłownym i w przenośnym znaczeniu tego wyrazu na peryferiach świata zachodniego, kapitalistycznego; pociągnięto to za sobą liczne, daleko idące konsekwencje”. Miało to trudne do przecenienia znaczenie dla jej przyszłości. Polska — J. Pajewski parafrazuje tu słowa francuskiego uczonego Louis Eisenmanna — „weszła w okres II Rzeczypospolitej zbyt wielką tradycjami wspaniałej przeszłości kulturalnej i politycznej, zbyt wielką obszarą, by móc pogodzić się z pozycją państwa małego. Jednocześnie zbyt była słaba gospodarczo, społecznie, zbyt rozdarta sprzecznymi siłami wewnętrznymi, by zdobyć mocarstwową pozycję. Była to tragedia Polski międzywojennej”.

ANDRZEJ F. GRABSKI

XXIV MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI



W dniach 16—20 maja odbyły się w Warszawie XXIV Międzynarodowe Targi Książki. Udział w nich wzięło ponad 1000 wystawców z 28 krajów, prezentując 140 tys. pozycji książkowych. Tegoroczna ekspozycja związana była mocno z Międzynarodowym Rokiem Dziecka, Polskie wydawnictwa natomiast nawiązywały do 35 rocznicy PRL.

Foto: R. Lucyszyn



Foto: A. Honory

Tegoroczne, czwarte już Łódzkie Spotkania Jazzowe (9—13 maja) rozpoczęły się trochę nietypowo jak na Festiwal Polskiej Muzyki Jazzowej, jako że inauguracyjny koncert odbył się w studenckim klubie „77”, co w żaden sposób nie mogło kojarzyć się ze znaną nam z telewizyjnych ekranów festiwalową atmosferą tysięcznej publiczności. Okazuje się przy tym, że na wszelkiego rodzaju jazzowe imprezy przychodzą w Łodzi ciągle mniej więcej ci sami ludzie — głównie studenci i młodzież szkolna. Dziwi natomiast brak na widowni tzw. średniego pokolenia, dla którego jazz był przecież muzyką młodości, w przeciwieństwie do obecnej młodzieży wychowanej głównie na różnych big-bitach. Ale tym zjawiskiem powinni zająć się już raczej socjologowie kultury.

My zaś powróćmy do klubu „77”,

gdzie jako pierwszy wystąpił zespół, którego nazwa doskonale znana jest chyba wszystkim jazzfanom od czasu, gdy na festiwalu „Jazz nad Odrą” w 1975 roku przyznano mu I miejsce. Mowa oczywiście o grupie „Extra Ball”, choć od razu trzeba wyjaśnić, iż od wrocławskiego festiwalu skład jej kilkakrotnie ulegał zmianom i od początku gra w niej jedynie lider — Jarosław Smietana (g). Rzecz jasna zmiany personalne musiały pociągnąć za sobą również zmianę muzyki uprawianej przez zespół, choć w dalszym ciągu można w niej dostrzec wpływ jazz-rocka, co bywa najczęściej wysuwany zarzutem pod adresem „Extra Ballu”. Mówiąc o zarzutach, nie chciałbym jednak sprawiać wrażenia, że najnowsze propozycje zespołu są nieciekawe, choć odnosi wrażenie, iż sława jego już jakby trochę przysła.

Odwrócić rzecz się ma z łódzką „Swing Group”, która wypełniła drugą część inauguracyjnego koncertu. Mimo że łodzianie pokazali się w zupełnie nowym repertuarze, śmiało można powiedzieć, że wszystko jeszcze przed nimi. Cieszy niewątpliwie, że po długiej przerwie mamy wreszcie w naszym mieście zespół jazzowy z prawdziwego zdarzenia (oby było ich więcej!), ale konfrontacja z innymi uczestnikami Spotkań reprezentującymi krajową czołówkę, pokazała jak wiele jeszcze trzeba zrobić, by o „Swing Group” było więcej słychać. A swoją drogą chcielibyśmy częściej mieć okazję posłuchania tego zespołu. Nie miało wysuwać propozycje: może tak w porozumieniu z Łódzkim Klubem Jazzowym dążyć się urządzić w jakimś lokalu jazzową kawiarnię? Wszak w innych

swój głos typowo instrumentalnie (gra również na saksofonach) poruszając się w improwizacjach swobodnie w bardzo szerokiej skali dźwięków, co nadaje krakowskiemu zespołowi oryginalne, niepowtarzalne brzmienie.

Innym zespołem obok „Laboratorium”, który również dopracował się swego indywidualnego brzmienia, jest z pewnością „Ossian”. Już choćby instrumentarium zespołu: ksylofon, gitary, kawa-gum, tabla, bongosy, pakharaj, berimbau, flety proste oraz różne instrumenty perkusyjne, świadczą o tym, że jego członkowie szukali inspiracji w muzyce ludowej wielu narodów świata. Rozpoczynająca piątkowy koncert ponad godzinna kompozycja „Muzyka dziesięciu kierunków” była najlepszym tego potwierdzeniem. Pobrzmiwały w niej wy-

zespołu „Swing Workshop” złożonego z weteranów polskiego jazzu. Muzycy ci, po wieloletnim pobycie za granicą, gdzie bardziej chyba zwązali na to, za ile, a nie jak grają, zaprezentowali poprawnie brzmienie standardy, czym zaskarбили sobie uznanie publiczności. Nie sposób jednak nie więcej powiedzieć o ich wykonaniu, niż to właśnie, że było poprawne. Po obdoby'ach na scenę wyszedł wrocławski zespół „Moonlight”, którego obecność na festiwalu była chyba pomyłką, co potwierdził m. in. fakt, iż znaczna część słuchaczy spędziła tę część koncertu w... hallu.

Za to po przerwie — wspaniali w każdym calu „The Quartet”, Kulpawicz, Jarzębski, Stefański i Szukalski dali popis swych umiejętności na najwyższym poziomie, co mogło zrekompensować nie tylko rozczarowa-

WĘDRUJĄCY FESTIWAL

krajach, a nawet w innych miastach u nas nie jest to znowu taką rzadkością.

Następne dwa koncerty główne IV Łódzkie Spotkania Jazzowych odbyły się w sali koncertowej Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej przy ul. Sosnowej 9, która niejednokrotnie już gościła jazzowych wykonawców, w tym nawet takie sławy jak np. Stan Getz. Wspaniała akustyka, wygodne, ustawione amfiteatralnie fotele, dobre zaplecze — wszystko to decyduje, że koncerty w POSM należą na ogół do bardzo udanych. Tak też było i tym razem.

W czwartek już pierwsze taktę w wykonaniu „Gold Washboard” — zwycięzcy — nomen omen — „Złotej Tarki 74” — wzbudziły gorący aplauz publiczności, przy czym temperatura sali w czasie ich występu stała rosta. Nie zawiedli też „Sami Swoi”, którzy, mówiąc na marginesie, ku zaskoczeniu wszystkich, pojawili się na scenie w strojach rodem ni to z cyrku, ni to z bizantyjskich ikon. Z zespołem po raz pierwszy zaprezentowała się też łódzkim jazzfanom — dysponująca bardzo dobrym głosem Barbara Banaszak. I choć nie udało jej się sprostać wszystkim utworom, standardy z repertuaru B. Holiday czy E. Fitzgeralda w wykonaniu H. Banaszak przypominały nam najlepsze tradycje jazzowej wokalistyki.

A skoro już o śpiewie mowa, warto też odnotować popisy wokalne Marka Stryszewskiego z krakowskiego „Laboratorium”, które zakończyły drugi dzień Spotkań. Było to o tyle ciekawe, że Stryszewski traktuje

nie występem wrocławian, ale także nieobecność na Spotkaniach zapowiadanych wcześniej — Big Bandu PWSM „Katowice” z solistami i grupy Janusza Muniaka. Miał również wystąpić drugi łódzki zespół „Wersja 77”, ale... No właśnie, aż trudno uwierzyć — jego członkowie po prostu zrezygnowali w ostatniej chwili z udziału w festiwalu, choć zapowiadali ich rozwieszono w mieście plakaty. Nie wiadomo, czy uznali, iż ranga imprezy za mała, czy też może raczej bali się konfrontacji z pozostałymi uczestnikami? W każdym razie organizator IV Łódzkie Spotkań Jazzowych działający w ramach Stowarzyszenia Muzyki Estradowej, Łódzki Klub Jazzowy nie potrafił podać żadnych konkretnych powodów nieobecności „Wersji 77”.

Oczywiście, zgodnie z tradycją, obok koncertów głównych, w klubie „77” odbywały się też nocne jam-sessions, co nadało całej imprezie swego rodzaju koloroty. Podsumowując, IV Łódzkie Spotkania Jazzowe uznać można za udane, choć nie w pełni zgadzaliśmy się, że był to reprezentatywny przegląd wszystkiego, co obecnie w polskim jazzie najciekawsze, jak zakładali organizatorzy. Usprawiedliwieniem niech będzie tu jednak fakt, że wielu naszych czołowych muzyków jazzowych przebywa obecnie za granicą. Jedno wszakże jest pewne: Łódzkie Spotkania Jazzowe stały się już tradycją, dobrą tradycją.

Nie bez powodu określiłem w tytule IV Łódzkie Spotkania Jazzowe jako wędrujący festiwal, gdyż kolejnym miejscem, gdzie odbyły się ostatnie dwa koncerty, była sala Teatru „Rozmaitości” — stwarzająca bez porównania gorsze warunki do grania jazzu niż POSM. W sobotę wystąpili w niej: duo Bednarek — Zgraja, których kompozycje często oscylują na granicy jazzu i muzyki poważnej oraz nowa grupa „No Smoking” stworzona przez muzyków, którzy niejednokrotnie dali się już wcześniej poznać jako świetni instrumentalniści.

W niedzielę natomiast słuchaliśmy

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Tydzień temu snułem w tym miejscu refleksje na temat pierwszego tomu opracowania „Literatury polskiej w okresie międzywojennym” — dziś parę uwag na temat tomu drugiego. Pisząc o tomie pierwszym — zawierającym omówienie czasopiśmiennictwa międzywojnia — wyraziłem kilka wątpliwości natury dokumentacyjnej. Uważałem bowiem, że nieślusnie pominięto w nim niektóre czasopisma łódzkie.

W wypadku tomu drugiego sprawa wygląda nieco inaczej. Otóż jest niewątpliwą zasługą autorów serii, że przypomnieli i omówili życie i twórczość takich zapomnianych autorów jak Józef Wittlin, Julian Ejsmond, Leonard Podhorski — Okołów czy Feliks Przystycki. Fakt, że znaleźli się w pomnikowym wydawnictwie, sumującym dorobek poetycki międzywojnia — dobrze świadczy o sbeiktywności historyków. Dwaj ostatni natomiast nie należeli do prawda do grona wybitnych poetów swojego czasu, ale ich twórczość była świadectwem wysokiej kultury literackiej okresu przejściowego. Dobrze więc, że znaleźli się wszyscy czterej na kartach wydawnictwa, stanowiącego najpoważniejszy katalog dorobku polskiej literatury lat międzywojennych.

Trochę mniej entuzjastycznie odniósł się do opracowania twórczości Juliana Tuwima. Niewątpliwie słuszne są — powtórzone za Brucknerem — opinie, że łódzkie dzieciństwo i młodość poety wyłaśniają genezę jego zainteresowań tłumem miejskim, jego postawę społeczną, uwarunkowanie jego wyobraźni — związanej od początku z pejzażem przemysłowego miasta.

Dalej jednak pewne apodyktyczne oceny mogą budzić sprzeciw i wątpliwości. Jak

choćby uwagi o uprawianiu „sztuki niższego gatunku” — rewii, kabaretu, szopki czy piosenki. Otóż ponad pół wieku minęło — a dzieła „niższego gatunku” są nadal żywe, nadal obecne we współczes-

LITERATURA MIĘDZY WOJNAMI

nej kulturze. Powiem więcej. Znaczna część „poważnych” wierszy Tuwima uległa dziś mumifikacji — wiele tych wierszy wyblakło i zwietrzało... Ale jego satyra, jego humorystyczne skecze, piosenki i wiersze satyryczne — wciąż są żywe, wciąż przemawiają do nas ze scenek współczesnych kabaretów.

I jeszcze jedno. Wiele „poważnych” wierszy Tuwima dziś funkcjonuje wyłącznie jako teksty do śpiewania. Może największym walorem była i jest właśnie ich piosenkowość?

Nie byłbym więc taki apodyktyczny w ocenianiu tego — rzekomo — niższego gatunku. Podobne tony brzmiały także w ocenie twórczości innego wybitnego skandydanta — Jana Lechońca.

Wiemy oczywiście, że po debiucie wysokiego lotu, jakim był „Karmazynowy poemat” (i wydane cztery lata później „Srebrne i czarne”) — Lechoń stworzył następnie wielkie liryki dopiero po kilkunastu latach — w wyniku wstrząsu wywołanego wojną i dramatem emigracji. Ale czyż można mówić o „jalowo poetyckich latach” — spychając na marginesie naprawdę znakomitą twórczość satyryczną Lechońca?

Okazuje się, że można. Wszystko co poniżej „Króla Ducha” i „Wielkiej Improwizacji” — nie jest dla historyków godne uwagi. A przecież pożałowania godna byłaby nasza literatura międzywojenna, gdyby w niej zabrakło szopek politycznych, kabaretu literackiego, piosenki...

Oczywiście powyższe uwagi nie mają na celu podważania niezaprzeczalnych wartości opracowania „Obrazu Literatury Polskiej”. Jest to seria wydawnicza o znaczeniu, które trudno przecenić. Snując te felietonowe refleksje zdaję sobie sprawę właśnie z wyjątkowości i powagi IBL-owskiej serii. Wiem, że te opasłe — napełnione od dokumentacji literackiej — tomy, będą przez całe lata podstawą wiedzy o literaturze międzywojnia. I właśnie dlatego zastępują na wielostronny, wnikliwą ocenę nie tylko historyków literatury, ale także pisarzy.

WIDOK

ALEKSANDER DŁUGOSZ



„Mój żywot nie letki, oj nie letki, Bom jest dyrektor z operetki.”

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

PRZED FINISZEM

Jestem w rozterce, na czym tu skupić uwagę, na dobiegającym końcu 32 Wyciągu Pokoju, czy na dobiegającym końcu rozgrywek ligowych. Wyciąg, jak twierdzą pilni obserwatorzy, jest już ponoc rozstrzygnięty. W ligowych meczach zdarzyć się może jeszcze wszystko. Piłka nożna zdaje się zapowiadać więcej atrakcji, ale do momentu wyłonienia mistrza zapowiadać więcej atrakcji, ale do momentu wyłonienia mistrza zapowiadać więcej atrakcji, ale do momentu wyłonienia mistrza zapowiadać więcej atrakcji...

32 Wyciąg Pokoju jest już prawie rozegrany, ale moim zdaniem wszystko może się jeszcze zdarzyć (piszę to w poniedziałek). Siergiej Nikitienko miał już prawie zagwarantowaną fioletową koszulkę najaktywniejszego kolarza i wystarczała jedna kraksa, aby wszystkie szanse diabli wzięli. Do pełnego szczęścia Siergiejowi Nikitienko brakowało tylko większej przewagi nad Janem Jankiewiczem, który nie ustąpiłby przecież bez walki. Mogła to być in-czaśm mylące są wszelkie prognozy i przewidywania.

Wydało mi się nam, że kiedy Wyciąg Pokoju wjedzie na ziemię polską, to będziemy mieli lepszą, bo pełniejszą, relację z trasy. A stało się inaczej. Tego, co się działo na trasie do Krynicy telewizja nie była w stanie relacjonować, bo jadący za pelotonem na motocyklu Krzysztof Wyrzykowski zupełnie nie miał kontaktu radiowego z kolegami i z nami, telewizyjami. Zresztą i na następnym odcinku z trasy, ten wie, że radio informowało wcześniej i na bieżąco o wszystkim, co działo się na trasie. Telewizja o tym samym informowała z opóźnieniem i jakby z wahaniem, niedokładnie, z niepewnością. A czy nie można było posłuchać sobie radia? Dopiero na trasie do Warszawy dziennikarze z radia i telewizji przypomnieli sobie, że pracują w jednej firmie i zaczęli przekazywać sobie informacje.

Ukoronowaniem wszystkiego był jednak redaktor Ryszard Dyla, który przeprowadził przed kamerami telewizji wywiady z polskimi kolarzami. Redaktor Dyla dawno włączyć nie miał okazji trzymać w rękę mikrofonu, więc jak się do niego dorwał, to postanowił wygadać się za wszystkie czasy. Nie zadawał pytań. On mówił. Za siebie, za kolarza, z którym przeprowadzał — tak się mu przynajmniej zdawało — wywiad, znów za siebie i znów za kolarza. W radio taki wywiad nie przeszedłby, nie byłoby widać, jak kolarz potakuje swemu „rozmówcy”, jak kiwa głową i bezradnie otwiera usta, aby coś powiedzieć, bo to przecież się z nim rozmawia. Ale redaktor Dyla nie dopuścił nikogo do głosu, jak ma w rękę mikrofon. Mistrz wywiadu „ja — ze mną”. Ale wróćmy do kolarzy.

Czy uda się nadrobić polskiemu drużynie zakłete 7 minut? Mało kto w tej sprawie jest optymistą. Nasi chłopcy jadą coraz lepiej, ale i niemiecki zespół łapie jakby drugi oddech. Polska drużyna dzieli od nich również trochę więcej niż 7 minut, ale niemiecki kolarze, zwyciężając na etapach NRD, mogą wprawdzie stracić trochę, ale zabrać naszym cenne bonifikaty. Radziecka drużyna też przecież nie spazuje. Oto dlaczego niektórzy mówią, że wyciąg jest już rozstrzygnięty. Ale jak będzie zobaczymy.

Drugie miejsce naszej drużyny i 7 minut straty do lidera jest przykładem na to, jak trzeba równo jechać, równo walczyć. Jedno potknięcie, jeden błąd — i wszystko mamy z głowy. A najlepszych przykładów na nierówną grę, nierówną pracę i lekceważenie przeciwnika dostarcza piłka nożna. Po meczu polskiej Odry z ŁKS wszyscy mówili, że opolanie wygrali dzięki fatalnej postawie łódzian. Marek Dziuba nawet przyrzekał, że nigdy więcej nie powtórzy się taka zła gra łódzkiego zespołu. I przyszła kolejna bramkami, a ŁKS przegrał we Wrocławiu. Widać w Opolu wstrząsła nie grozi spadkiem do drugiej ligi, ale ktoś tam miejsce w ogonie ligowej tabeli też nie przynosił zaszczęty.

Na usprawiedliwienie łódzian można powiedzieć, że wszyscy grali nierówno. Jedenastka RTS Widzew nagle wspięła się na szczyty i pokonała gdyńska Arkę aż 4 bramkami, a Arka do słabeuszki nie należy. Widzewiacy do tej pory grali nie najlepiej. Zwycięzali z trudem, remisowali. Chorzowski Ruch jakby tracił oddech, więc i przed Widzewem otwiera się pole do popisu. Oby tylko się starczyło. Przez następne cztery niedziele może być ciekawie. Na boiskach — tak się szczęśliwie dla kibiców może być — spotkają się drużyny z czoła tabeli, a więc te, które ubiegają się o tytuły, walcze ze sobą drużyny ze środka, którym nie nie grozi i te, z końca, którym grozi wylądowanie w drugiej lidze. Nikt więc tu nikomu nie będzie robił prezentów, grzecznościowych gestów, nie będzie się odwiedzali, ustępował wyższym racjom. I to dopiero może być interesujące.

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

Sporo się niegdyś dyskutowało o naszym czasie wolnym. Martwił się wszyscy, co z tym czasem robić. Ale dyskusja jakoś wygasła. Inne teraz mamy kłopoty i zmartwienia. Inne problemy urosły do rangi pierwszorzędnych. Okazało się, że nie jest to czas wolny, czyli to, co nam zostaje po pracy ośmiodziesiętnej — jest przedmiotem zainteresowania, ale to gdzie człowiek w tym czasie pracuje. Przez kilka dni dniem i Zygmuntem Szeliga dziwił się na lamach „Polityki”, jakie prawo ma pracodawca przywłaszczać sobie wolny czas pracy każdego z pracujących 8 godzin. Niestety, ma. Nie wiem, czy jest to prawo, ale spróbujcie podjąć gdziekolwiek pracę po 8 godzinach bez zgody swego dotychczasowego pracodawcy.

W ogóle wokół pracy dzieją się dziwne rzeczy. Praca jest wszakże „prawem, obowiązkiem i sprawą honoru” każdego z nas i powinno się od nas wymagać według zdolności i nagradzać według prac, ale okazuje się, że ktoś kto chce swój wolny czas zamienić na dodatkową pracę, który wychodzi z założenia, że stać go na to, nie ma do tego prawa bez zgody swego pracodawcy. A aby, co go obchodzi? Obchodzi niechęć, może nie tyle samego pracodawcę, co wszelkie wydziały finansowe.

Był taki czas, że praca chętno karała, ale wtedy rozsądni ludzie zwrócili uwagę, że to wbrew prawu, że to nie o to chodzi. Praca ma wychowywać, uszlachetniać człowieka, przyczyniać się do jego dobrobytu, nie może więc być karą jednocześnie. I słusznie.

WOLNY CZAS

teraz nagle wszyscy zaczęli się strasznie troszczyć o to, aby nikt się, broń Boże, nie przeprosował. Nim więc zaczniecie się dobrowolnie eksploatować ponad prawnie uznane 8 godzin, to musicz brać odpowiedzialność na to zgodę. Ja nawet rozumiem intencję takiej troski jeśli jej celem jest zlikwidowanie wszelkich fikcyjnych póletatów, etatów, stanowisk różnego rodzaju konsultan-

tów, doradców i reprezentantów. Ale obawiam się, że przy okazji, wylęcając brudną wodę po kapie, można wylać też dziecko, które się kapalo. Cwaniary bowiem i tak dadzą sobie radę. Wszelkie te, wyżej wymienione funkcje i stanowiska, za które branc pieniądze nie wkładają w ich sprawowanie żadnego wysiłku nie powstały o tak sobie, a ze skutecznego nacisku społecznego, ze społecznych czy gospodarczych potrzeb, ale z układów między instytucjami i ludźmi. Ty mnie, ja tobie...

Obserwując akcję likwidowania póletatów na przykładzie naszej redakcji. Najpierw groziło nam, że pozbedziemy się specjalistów z UL, którzy spełniają w redakcji pożyteczną rolę, ale cały sens

ich pracy wynika właśnie z łączności pracy naukowej z redakcyjną. Na szczęście zrozumiano w porę, że umiejętność sbsocowania przepisów nie polega na mechanicznym wprowadzaniu ich w życie. Przepisy mają życie ułatwiać a nie je utrudniać.

I oto znów dotknęła nas akcja likwidowania póletatów. Ponieważ miesiąc się przy ulicy Mickiewicza 12, a nie w gmachu

prasy przy ul. Piórkowskiej 66, musimy mieć kogoś kto będzie spełniał jednocześnie funkcję portiera i sprzątaczkę. I tej funkcji podjął się gospodarz domu. Ale teraz musimy szukać kogoś na pół etatu, bo PGM mu zabronił. PGM ma oczywiście swoje racje, dba o dobro instytucji. I to, aby wszędzie było czysto. I słusznie. Ale...

Nam poradzono, abymy wzięli sobie kogoś z Wydziału Zatrudnienia, a jednocześnie poinformowano że w Wydziale Zatrudnienia nie ma chętnych do tego rodzaju pracy. I bądź tu mądry, możemy dać jeszcze ogłoszenie do gazety, albo złożyć ofertę na kółkach z ogłoszeń w rodzaju: „Przyjmę każdą pracę po południu”.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Kilkanaście lat temu przez wiele ośrodków posiadających przywilej i moc decydowania o różnych odcinkach naszego życia przewiał huragan pomysłowy. Spartakiści, surowy i oszczędny styl życia miał w wioru na środek ustąpić nieograniczonym urokom i wdziękowi luksusowym wygodom, supermodernym przebojom konsumpcji i rozrywki. W Gdyni otwarto salon obuwniczy, a przy nim warsztat naprawkowy z kawiarnią. Klient miał przyjść, zdjąć bucik i popijając kawę czekać na przyklejenie importowanego spodu do importowanego wierzchu importowanym klejem. Nikt nie oczekiwał aż takiego szczęścia, tak samo jak nikt nie popijał i nie popija kawy w barze, czynnym w jednym z warszawskich sklepów z odzieżą męską. Ludzie woleliby kupować obuwie i odzież niż pić kawę skurat w sklepie obuwniczym i odzieżowym. Wielkim nakładem środków uruchomiono Dom Sprzedaży Wysokiej, instytucję potrzebną może na rynkach nasyconych po uszy, czy nawet przesyconych. Kto kupił w tym domu cokolwiek na podstawie katalogu, który nigdy nie odpowiadał faktycznym zdanom towarów na półkach? Kto w ogóle widział i gdzie — te katalogi?

Salon futrzarski w Warszawie urządził luksusową poczekalnię z zagranicznymi żurnalami na stolikach, ale klientki czekają na kożuchy wiele godzin przed otwarciem sklepu na ulicy. Takich wydumanych publicznych bibelotów, naprawdę dalekich od naszych wyobrażeń o konkretnym podnoszeniu jakości życia, powstawało i powstaje sporo, po to żeby przedłużyć zmarznąć na anemię, właści-

wa przedwcześnie urodzonym. A jednocześnie jest tyle, tyle do zrobienia rzeczy naprawdę łatwych i prostych, niekosztownych — za to mądrych i użytecznych. Powtarzam: mądrych i użytecznych.

Zamiast jeszcze jednego baru kawowego w jakimś domu towarowym wolelibyśmy na przykład w tymże domu sztat-

NA KAWĘ DO SZEWCZA...

nie. Zwyczajną szatnię i przechodwalnię bagażu, żeby nie chodzić po piętach z lukami towarów, nabytych wcześniej, gdzie indziej. I może jeszcze przechodwalnię dzieci, żeby tam sobie posiedzieli przy klockach, zamiast asystować godzinami przy wyborze piętuski i kapelusza. Sklepy z meblami i z artykułami gospodarstwa domowego organizują we własnym zakresie dostawę sprzętu do domu. To bardzo pięknie. A może by tak jeszcze na przykład zakładanie klientom

zakupionych karniszy? Wykładanie podłóg zakupioną wykładziną? A może jeszcze na miejscu malutki warszatek, dorabiający na poczekaniu klucze? Zegar-mistrze już są i dobrze. Mechanik — złota rączka przydałby się co najmniej tak samo.

Czytamy w prasie liczne ogłoszenia fachowców, wyciszających drzwi, cyklinujących bepyłowo podłogi, tapetujących i odnawiających mieszkania. Te ogłoszenia to śpiew sobie a muzom. Fachowcy przyjmują zamówienia na 4 — 6 tygodni naprzód, a potem i tak nie przychodzą. A jeśli już przyjdą w zupełnie nieoczekiwanym terminie, to cyklinarz nie ma wiórków, ślusarz pyta czy mam miotek, tapetiarz dziwi się że nie mam dla niego drabiny. Hydraulik przychodzi bez narzędzi, malarz żąda pedzla i naczyń na farbę. Zdumiewający, egzotyczny świat ludzi, których własna praca nie nie obchodzi. Jakże w tym stanie rzeczy marzyć o takim prościutkim gościu, z jakim spotkałem się za granicą: malarz, który przyszedł odnowić mieszkanie, przyniósł zwój leciutkiej folii, rozesał ją na podłodze i przykrył najcięższe meble. Nic go to nie kosztuje, a świadczy o szanowaniu siebie, klienta i pracy. Po fajerlicie zetrze folię wilgotną szmatką, zwinie i idzie dalej, nie zostawiając po sobie ruiny mieszkania. Ech, lza się kręcić...

Chodźmy lepiej na kawę. Może na przeciwko — do salonu wyrobów masarskich uszlachetnionych?

CWIEK

Załącznik nr. 26(-)79.....

ARTYKULAS WSTĘPNY

WYDANIE SPECJALNE:

Główny specjalista — JERZY WILMAŃSKI

HASŁO NUMERU: Śmiejmy się
bez przykrych konsekwencji

FRASZKI ESTRADOWE

ANDRZEJ JÓZWIAK

To Zanussi show-businessu
Zna strukturę, nie ma stresów
Czasem tylko traci głowę;
robi Targi Estradowe

JAN PIETRZAK

Ktoś pryncypialność mu wytykał
Kogoś w „Egizie” trafiał szlag...
Na bzdury oczu nie przyznika
Polski Beranger — Jean Pletchag

FERIDUN EBOL

Wtorek — w Stambule pije kawę.
Sroda — Estradzie robi sławę.
Czwartek — w Warszawie forsa traci.
I wszystko sam — bez obu braci.

FRAMEROWIE

Moskwa, Detroit i Ostrowiec —
Wciąż wędrują Framerowie.
Przeszła jesień, przeszła zima
A nowego „hitu” nima

„KARATE”



Foto: Estrada

ZWALI Z NÓG KAŻDEGO!

„Życie Gospodarcze” pisało o
dyr. Józwiaku, że jest czło-
wiekiem energicznym, pomysł-
owym, z inicjatywą, i że bie-
le na głowę kolegów z pozos-
tałych przedsiębiorstw est-
radowych.

Żeby się Józwiakowi w głowie
nie przewróciło, inne
„Życie” — tym razem „Lite-
rackie” — napisało, że to...
bokser. „Express Wieczorny”
natomiast stwierdził, że dy-
rektor ma jednak przewróceni-
e w głowie.

Aby go z tego wyleczyć
„Kultura” napisała o Józwiaku
per „plagiator”. Ale zaraz
potem przeczytaliśmy w „Ku-
lisach”, że jest to jeden z
najprężniejszych menagerów
rozrywki w Polsce...

GŁOS PRASY

„Szpilki” pisały — w czer-
cu 1975 roku — że facet jest
w ogóle nie do wykończenia.
Po roku — w maju 1976 — te
same „Szpilki” zmieniły zda-
nie, twierdząc, że Józwiaka
wykończyć bardzo łatwo...
Jest maj 1978... W „Estra-
dzie” oczekują z niecierpli-
wością na kolejne wycinki
prasowe, aby się dowiedzieć
co słychać.

sklepów — odpowiada piosen-
karcz.
— A co jest?
— Same „Pewexy”.

BYĆ MOŻE PRAWDZIWE...

Zbigniew Framar po powro-
cie z występów w USA roz-
mawia ze znajomym. „No,
jak tam w sklepach?” — sły-
szy pytanie.

— W sklepach? W jakich
sklepach? Tam w ogóle nie ma

Pewien zespół estradowy
koncertował w jednym z kra-
jów trzeciego (a może czwar-
tego) świata. Artystów mieszkali
w wytwornym hotelu i bali-
li sobie chwalić opiekę per-
sonelu. Alłści pewnego dnia
jeden z muzyków (znany
tęszą z szalonych pomysłów)
przyniósł wiadomość, że w
pokoju hotelowym zaistnio-
wany jest podstęp. Niepraw-
dopodobne, ale czasem się
dziera, zwłaszcza w krajach
trzeciego (a może czwartego)
świata.

Artysty rozpoczęli natych-
miast systematyczne poszuki-
wania. Po paru godzinach od-
kryli pod dywanem dwie ta-
lemniczce śrubki. Przy pomocy
szczyrka błyskawicznie je
odkryli.

Ale śrubki w niczym nie
przypominały mikrofonów. O-
gledziwy przerwał gwałtowne
wtargnięcie zdenerwowane-
go personelu hotelowego.
W pokoju piętro niżej spadł
tyrandol.

CO Z TYM STRIP-TEASEM?

Czyli dwa listy
do Redakcji

Jestem rencistka. Ostatnio by-
łam w łódzkim Teatrze Estrady
na kabrecie „Wielki Szpan”.
Program świetny, wrecz znakomi-
ty. Jest tam jednak słaba część,
która dyskredytuje całość. To
strip-tease. To jest dno! Ten
Józwiak jest bezwstydny.

ANIELA B.

Jestem rencista. Byłem na
„Wielkim Szpanie”. Program dno,
ale strip-tease — znakomity!
Brawa dla Józwiaka. Idę jeszcze
raz z kolegami. Wnuk funduje mi
bilec.

ADAM C.

Od redakcji:

Strip-tease nie jest ani tak o-
kropny, jak pisze p. Aniela, ani
tak znakomity, jak pisze p. Adam.
Jest zwyczajny. Załączamy zdję-
cie.

Z ESTRADY DO ENCYKLOPEDII I SŁOWNIKÓW

Czasem spotyka się opinie, że E-
strada nie jest u nas w pełni do-
ceniata. Nie możemy się zgodzić z
tą opinią.

Niezaprzeczalnym dowodem, iż
tak nie jest może być choćby
trzynastotomowa Wielka Encyklope-
dia Powszechna. W tym podsta-
wym leksykonie wstępy i infor-
macji bardzo wiele haśłał mów-
waliśmy o „Estradzie Łódzkiej” i
jej ludzicach.

Na przykład zespół wokalnno-
muzyczny „Hellen” od lat współpra-
cujący z Estradą. Oto w tomie
czwartym WEP, na str. 603 czyta-
my: „Eponim Hellenów, uważany
najczęściej za władcę Ftyl, syn
Denkalina i Pyrry...”. A dalej coś
o Dorach, Eolach, Jonach i Acha-
jach. Ale ponieważ takie zespoły
nie śpiewają w Estradzie — nie bę-
dziemy sobie nimi zaprzętać głowy.

Popularny piosenkarz Jacek Lech
także trafił na karty Wielkiej En-
cyklopedii Powszechniej. W tomie
szóstym, na str. 412 jest hasło
„Lech”: „Rzeka w Austrii i RFN,
prawy dopływ Dunaju, długość 263
km...”. Trochę się tu nie zgadza,
bo kariera Jacka Lecha jest dłuż-
sza niż 263 km.

Natomiast w trzecim tomie WEP,
na str. 802 znajduje się hasło
„FRAMPOL”. Jest to skrót telega-
ficzny popularnego duetu wokalne-
go Framarów — „Framerowie —
Polska”. Czyli „FRAMPOL”.

Nazwy „Estrady Łódzkiej” czyli
„Show Business Corporation” nie
znaleźliśmy co prawda w WEP, ale
za to figuruje ona jak byk w
„Słowniku Wyrazów Obcych”. I to
nawet w trzech miejscach.

Na str. 481 — Show (rodzaj wido-
wiska) — na str. 85 — Business
(interak., przedsiębiorstwo) oraz na
str. 102 — Corporation (stowarzy-
szenie, związek).

Również w „Słowniku Wyrazów
Obcych” odnotowano istnienie gru-
py wokalne „Primo voto”. Na str.
801 czytamy: „Primo voto — z
pierwszego małżeństwa, po pierw-
szym mężu”. Prostujemy tu przy
okazji pewną nieścisłość. Otóż hasło
„Słownika” sugeruje, że dziewcze-
ta z „Primo voto” są po pierw-
szych mężach, co nie odpowiada
prawdzie. Niby drobiazg, ale prostu-
jemy, bo ostatnio bardzo wzrosło
zainteresowanie tymi sprawami.

Nie znaleźliśmy natomiast w lek-
sykonach i encyklopediach takich
haśłał jak „Józwiak” i „Leffe”, co
świadczą o wyższości artystów nad
administracją. Jest to prawda stara,
ale warto ją przypomnieć.

„Wielka” pcha! Włodzi-
mierz Krzeminiński wy-
skoczył z dzisiejszego
„Załącznika”. Spodziewa-
my się, że wskoczy do na-
stępnego.

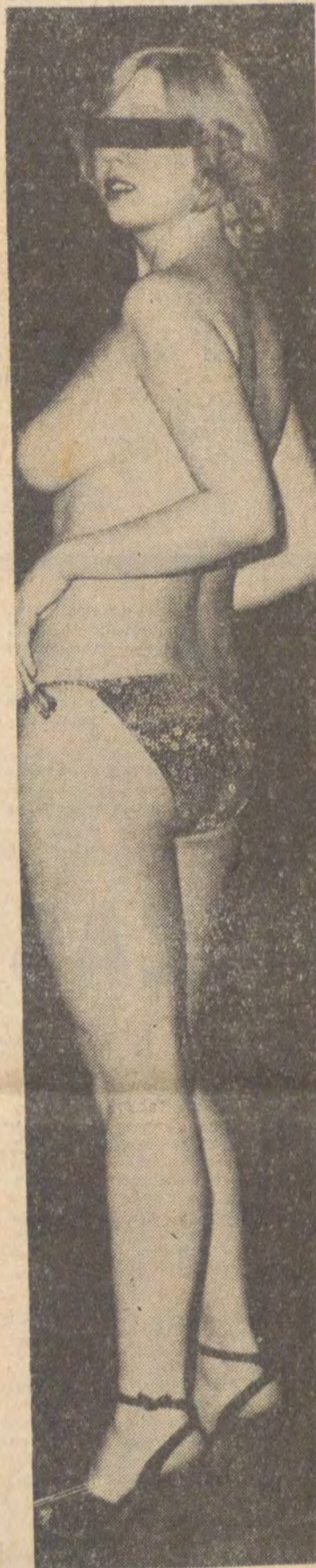


Foto: Estrada

BALLADA O DZIESIĘCIU MURZYŃKACH

Było dziesięciu Murzyńków
Etałów dwadzieścia miało
Jednego zwinela kontrola
Dziewięciu pozostało

Dziewięciu ewanych Murzyńków
Podpisało się pod donosem
Lech tylko jeden wyraźnie
Została cyfra osiem

A zatem ośmiu Murzyńków
Wysiadło na dworcu w Wiedniu
I jeden odmówił powrotu
Zostało Murzyńków siedmiu

I tylko siedmiu Murzyńków
W kononie celnej w Brześciu
Otworzył swoje walizki
Zostało Murzyńków sześciu

Cała szóstka Murzyńków
Pragnęła kupić Fiata
Lecz tylko jeden żyrował
Umari po pięciu ratach

Pięciu dorodnych Murzyńków
Obrosło w bogate piórka
Jednemu dali domiar
Zostają tylko czwórka

Wieczorem czterech Murzyńków
Do brydza sobie zasiadło
Jeden przegapił szelma
I z żalu mu serce wysiadło

Została trójka Murzyńków
I knajpę w ajencję wzięli
Jeden z nich rabnął kasę
I tyle go widzieli

Dwóch pozostałych Murzyńków
Krajowym raczyło się winem
Któryś z nich wypił za dużo
I został jeden Murzynek

I ten ostatni Murzynek
Co życie miał smutne i szare
Też skończył podle i marnie
Bo w Łodzi założył kabaret

Tym razem, z okazji ju-
bileuszu naszej kochanej
„Estrady”, zajmujemy się
„Estradą” niepoważnie. W
najbliższym czasie zajmie-
my się „Estradą” serio.
To dopiero będzie niepo-
ważnie!

Listy do Redakcji

„Mam 17 lat. Mówią, że jestem
zgrabna, ładna, mam ładne pier-
si i długie nogi. Czy mogłabym
zdobyć zawód piosenkarki?”

OD REDAKCJI
Droga Jola, jest taki zawód, w
którym uroda odgrywa dużą ro-
le. Na estradzie decyduje jednak
głos. Choćby telewizja zna wy-
jątki.

* * *
Chciałabym mieć własny recital
w telewizji, taki jak moja uko-
chana piosenkarka Elżbieta Miod-
ostocka. Śpiewam tak jak ona,
nutka w nutkę, bo p. Miodostec-
ka wiernie kopiuje Rodzice jed-
nak mówią, że strasznie fałszuję.
Co robić?

OD REDAKCJI
Słuchać starszych. Mają rację.
Spróbuj kopiować Aznavoura —
śpiewać z chrypką, ale czysto.

